STYCZEŃ 1933

NASZA PRZYSZŁOŚĆ

WOLNA TRYBUNA ZACHOWAWCZEJ MYSLI PAŃSTWOWEJ

TOM XXVII

WYDAWCA I REDAKTOR: Dr. JAN BOBRZYŃSKI
ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, ŻÓRAWIA 11, m. 8, TELEFON 9-27-61

STYCZEŃ 1933

NASZA PRZYSZŁOŚĆ

WOLNA TRYBUNA ZACHOWAWCZEJ MYSLI PAŃSTWOWEJ

TOM XXVII

75

WYDAWCA I REDAKTOR: Dr. JAN BOBRZYŃSKI
ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, ŻÓRAWIA 11, m. 8, TELEFON 9-27-61

Drukarnia Mazowiecka, Warszawa, Szpitalna 1, tel. 649-04

T R E Ś Ć:

KU CZCI KRÓLOWEJ JADWIGI.

Akcja Koła Przyjaciół „Naszej Przyszłości“, podjęta z wiosną z. r. dla osiągnięcia kanonizacji Królowej Jadwigi, poza ogólnem pobudzeniem kultu dla świątobliwej Królowej drogą publicystycznej działalności specjalnie w tym celu wyłonionej sekcji Koła, wydawać zaczyna już realne, doniosłe rezultaty.

Zasługa przypada tu w pierszym rzędzie X. Arcybiskupowi krakowskiemu, Adamowi ks. Sapieże, który, podjąwszy energicznie tą sprawę, zorganizował w Krakowie dn. 9-go b. m. uroczystą akademję ku czci Królowej, rozpoczętą pontyfikalnem nabożeństwem w katedrze wawelskiej, a zakończoną wielkiem zebraniem wieczornem w sali Domu Katolickiego.

Kraków, jako miejsce ongiś życia i panowania świątobliwej Królowej, dał w ten sposób należny początek, zainaugurował okres podniosłych manifestacji w kraju, które doprowadzić powinny — muszą! — do podjęcia procesu kanonizacyjnego właściwą drogą. Całe społeczeństwo polskie, bez różnicy przekonań, powinno złożyć u stóp Stolicy Apostolskiej jednomyślny, gorący swój postulat, aby największa i najbardziej dla sprawy religijnej i państwowej zasłużona Monarchini zaliczona została w poczet Świętych. Oczywiście, w takiej akcji wszelkie względy świecko-historyczne ustąpić muszą na plan drugi wobec głównej i jedynie miarodajnej sprawy: udowodnienia świętobliwości Królowej oraz cudów, za Jej pośrednictwem spełnionych. W tym więc kierunku powinny przedewszystkiem zmierzać starania.

Nie możemy oczywiście przesądzać wyroku Stolicy św., ale wolno nam narazie traktować akcję w tym kierun-

ku jako zadośćuczynienie, zdaniem naszem, sprawiedliwości dziejowej i jako kwestję narodowego obowiązku i honoru.

Czy zdołamy? Słusznie zauważył pewien wybitny przedstawiciel sfer duchownych na niedawnem zebraniu Komitetu obywatelskiego, utworzonego w Warszawie z inicjatywy Koła Przyjaciół N. P. w celu systematycznego ujęcia i popierania akcji na terenie całej Polski, że jeżeli dotąd — mimo licznych starań, zapoczątkowanych raz po raz w ciągu pięciuset lat — naród polski nie zdołał osiągnąć kanonizacji Królowej Jadwigi, to widocznie dlatego, że na to nie zasługiwał! Czy zasłuży sobie obecnie? Może, jeżeli rzucając na bok drobiazgowe spory i zawiści partyjno-polityczne i społeczne, zjednoczy się chociażby w tej jednej, wielkiej sprawie i zgodnym chórem wołać będzie o spełnienie wielkiego narodowego życzenia. Bo nie potrzeba chyba dowodzić, że z tym postulatem nie może stanąć przed Watykanem jakaś pojedyncza grupa czy stronnictwo, ale stanąć musi cały naród! To też Koło Przyjaciół N. P. uważa się w całej tej akcji tylko za skromnego inicjatora i współpracownika w takim zakresie, w jakim świecka inicjatywa w takich dziełach ujawnić się może i powinna. Powołaliśmy do życia wspomniany Komitet, złożony z osób duchownych i świeckich, oddając mu dalsze prowadzenie sprawy, aż do momentu, w którym na podstawie odpowiedniego materjału zwrócimy się do wysokich sfer duchownych z prośbą o wszczęcie postępowania kanonicznego.

Rozpoczął Kraków serję uroczystości — teraz kolej na stolicę. To też Komitet zajął się gorliwie urządzeniem w możliwie bliskim terminie uroczystej akademji w Warszawie.

Tymczasem miło nam podać do wiadomości Szanownych Czytelników oświadczenia, jakie raczyli przesłać nam dotąd na ręce Redakcji niektórzy Dostojnicy Kościoła.

Zamieszczamy te wielce zaszczytne dla nas i zachęcające do dalszej pracy enuncjacje arcypasterskie nie dla próżnej chwalby, ale dlatego, żeby czytelnicy i sympatycy „Na-

szej Przyszłości" uświadomili sobie tem lepiej doniosłość i powagę sprawy i aby listy te pobudziły ich także do możliwie intensywnego współdziałania w wielkiem dla nas dziele religijnem i narodowem.

Łaskawy Panie Redaktorze!

W odpowiedzi na pismo Pańskie miło mi przesłać Redakcji „Naszej Przyszłości" wyrazy uznania za podniesienie starań ku czci Królowej Jadwigi.

Była ona zawsze w Polsce kochaną, ale nie dosyć, nie tak, jak na to zasługuje. Ofiarą z siebie bowiem, cnotami i chrześcijańską kulturą, którą szerzyła, położyła Królowa Jadwiga podwaliny pod świetność ery jagiellońskiej.

Dla naszego dzisiejszego pokolenia, któremu danem jest budowanie nowo powstałego państwa, winna też być Ona wielkim przykładem. I nam też teraz grozi zachłanność z Zachodu, a coraz bardziej otwieramy do nas przystęp barbarzyństwu wschodniemu.

Niech więc P. Bóg błogosławi usiłowaniom Panów, aby wstrząsły społeczeństwem, poddającem się bierności i byśmy, idąc Jej śladami, budowali potęgę naszego państwa.

Z wyrazem głębokiego szacunku
† Adam Sapieha.

Wielmożny Pan
Dr. Jan Bobrzyński
Warszawa.

Szanownemu Panu Redaktorowi dziękuję uprzejmie za nadesłany mi październikowy numer miesięcznika „Nasza Przyszłość", w którym z radością spotkałem się z inicjatywą chwalebną, dotyczącą ewentualnej kanonizacji Królowej Jadwigi.

† August Kard. Hlond.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Spieszę wyrazić mu wdzięczność za łaskawie nadesłane informacje w sprawie rozpoczęcia akcji o beatyfikację Królowej Jadwigi i za nadesłane publikacje.

Rad jestem bardzo, że ta, tak doniosła dla narodu i państwa naszego sprawa wchodzi na tory właściwe. Jak najchętniej też podejmujemy projekt urządzenia w Wilnie Akademji ku czci Królowej Jadwigi. Zajmie się tem nasz Instytut Archidjecezjalny Wileński Akcji Katolickiej.

O terminie Akademji i szczegółach postaramy się zawiadomić Wielce Szanownego Pana Redaktora.

Łączę wyrazy najwyższego szacunku, czci i poważania

† **R. Jałbrzykowski**
Arcybiskup wileński.

Nuncjusz Stolicy św., Ks. Arcybiskup Marmaggi, nadesłał następujące pismo w języku włoskim, które w tłómaczeniu podajemy:

Wielmożnemu Panu Wydawcy i Redaktorowi
„Naszej Przyszłości"
w Warszawie.

Potwierdzam odbiór cennego pisma z 5-go listopada b. r., podpisanego przez Pana oraz p. Emila Rewerowskiego, które donosi mi o podjęciu starań przez Koło Przyjaciół wspomnianego miesięcznika celem przygotowania beatyfikacji świątobliwej Królowej Jadwigi.

Dziękując serdecznie za łaskawe zawiadomienie mnie o tem, składam gorące życzenia tej inicjatywie, zmierzającej do powiększenia o nową, błyszczącą perłę cennej korony niebiańskich bohaterów i świętych, synów katolickiej Polski.

Łączę swe życzenia i modły dla powodzenia tego wspaniałego przedsięwzięcia i z uczuciem miłości ojcowskiej pozdrawiam i błogosławię.

† **Marmaggi.**

J. Em. Ks. Kardynał Kakowski raczył przyjąć protektorat nad akademją, przygotowywaną w Warszawie, która odbędzie się za kilka tygodni — zapoczątkowana Mszą św. pontyfikalną w katedrze, a zakończona uroczystym hołdem w auli uniwersytetu.

Ks. Kardynał był łaskaw nadesłać Redakcji naszej następujące pismo:

Szanowny Panie Redaktorze!

Sprawa beatyfikacji Królowej Jadwigi ze wszech miar godna jest poparcia wszystkich warstw społeczeństwa naszego.

Królowa bowiem Jadwiga jaśniała za żywota swego, jako niewiasta, chrześcijanka, królowa. Pozostawiła pamięć gorącej swej pobożności oraz szczodrobliwości w licznych ofiarach i nadaniach; swego miłosierdzia w hojnej jałmużnie i opiece nad ubogim ludem; swego poświęcenia, gdy dla celów wyższych wyrzekła się swych osobistych uczuć i upodobań.

Ona sprawiła, że pogańska Litwa, którą zakon krzyżacki przez długie lata napróżno nawracał, stała się cała chrześcijańską i nietylko, że odtąd ustały krwawe wojny między Litwą i Polską, ale nadto powstała jedyna prawie w dziejach unja narodów.

Postać Królowej Jadwigi pozostała w pamięci Polaków jako szczytny ideał niewiasty polskiej, jako świątobliwa otoczona została nimbem czci i uwielbienia powszechnego.

Dla tych powodów Polska odrodzona winna dopełnić tego, co zaniedbała Polska przeszłości. Jest to nasz obowiązek, jest to dług, zaciągnięty przez przodków naszych, który przez pokolenia ciąży dotąd i winien być coprędzej spłacony.

† Aleksander Kardynał Kakowski.

Poniżej podajemy wyjęte z krakowskiego „Czasu“ sprawozdanie z przebiegu tamtejszych uroczystości, o których wspomnieliśmy na wstępie. Powinny być dla społeczeństwa polskiego bodźcem i zachętą, tak, aby prąd kultu Królowej ogarnął kraj cały. Trudno tylko, oczywiście, odtworzyć gdzieindziej w równym stopniu potężne wrażenie nabożeństwa w katedrze wawelskiej — bezpośrednio obok grobowca Królowej!

„Uroczystości ku czci królowej Jadwigi, mające za cel pogłębić i rozszerzyć Jej kult, tak ściśle związany z przeszłością całej Polski, a specjalnie Krakowa, rozpoczęła pontyfikalna Msza św. w katedrze na Wawelu. Już przed godziną 9 rano tłumy wiernych wypełniły obszerne nawy katedry. U głównych drzwi zgromadziło się duchowieństwo: kapituła metropolitalna z ks. biskupem Stanisławem Rospondem na czele. O godz. 9 przybył do katedry J. E. ks. kardynał prymas Dr. August Hlond, a powitany u bram świątyni przez kapitułę katedralną, przeszedł w procesji, udzielając błogosławieństwa zebranym, do głównego ołtarza, gdzie zajął miejsce na tronie, po stronie Ewangelji. W stallach zasiedli ks. biskup Rospond, ks. ks. kanonicy Fijałek i Skoczyński, ks. rektor Maśliński, ks. rektor Hanuszek, ks. prałat Niemczewski, O. Klemens Izdebski, przeor Zak. OO. Paulinów i inni. Przed ołtarzem zajęli miejsca przedstawiciele władz z J. M. ks. prorektorem U. J. K. Michalskim, naczelnikiem Dr. Grabowskim (imieniem prezydjum m. Krakowa) i pułk. Bolesławiczem na czele.

Uroczystą, pontyfikalną Mszę św. celebrował J. E. ks. metropolita Adam Stefan Sapieha w asystencji ks. dziekana infułata Ślepickiego i ks. kanonika Kuliga. W czasie nabożeństwa przemówił ks. Jan Rostworowski T. J., podnosząc w głębokich słowach znaczenie postaci królowej Jadwigi dla Polski historycznej i dla Polski dzisiejszej. Sam fakt, że mimo przeszło pięciu wieków, jakie upłynęły od chwili, gdy zagasło na zamku wawelskim życie młodocianej królowej, kult Jej ani na chwilę w Polsce nie osłabł —

jest podziwu i zastanowienia godnym. Wśród licznych postaci nieprzeciętnych kobiet, jakie zasiadały na królewskim tronie w Polsce, ponad świątobliwą Kingę, miłosierną Annę Jagiellonkę i bohaterską Marję Ludwikę Gonzagę, jaśnieje młodociana Andegaweńska księżniczka, która ofiarą swego osobistego szczęścia zamienia blaski zachodniej kultury Wiednia na proste podówczas jeszcze i surowe mury Wawelu i dozgonne współżycie z pozbawionym zachodnich obyczajów potomkiem Gedymina. A czyni to za cenę światła Wiary św. i Kultury, niesionej hen, na północ i wschód — czyni to nie pod wpływem porywu chwili, lecz po dojrzałym namyśle. Od momentu odprawienia Wilhelma z murów wawelskiego Zamku, do chwili wjazdu litewskiego księcia Jagiełły do Krakowa, jak i od momentu, gdy wyrosła na absolutystycznych zasadach władzy — młoda królowa z berdyszem w ręku usiłowała wyłamać furtę wawelską, do chwili — gdy z pełnem poczuciem odpowiedzialności i ofiary odwoływała niespełnione nigdy śluby Hamburskie, by połączyć się węzłem małżeńskim z nowoochrzczonym księciem pogańskiego kraju — upłynął niemal rok. A dusza królowej w tym czasie przebyła długą drogę. W samotności rozważań ujrzała swój cel — poświęcenia i służby obcemu Jej dotąd narodowi. I do końca swego życia pozostaje królowa Jadwiga wierną raz przyjętym na się obowiązkom. Może nawet nie zdawała sobie sprawy, jak wielkiego politycznego czynu stała się powodem, nie wiedziała, jakim wspaniałym blaskiem olśni Europę potęga czasów Jagiellońskich, jak potężnem „Antimurale Christianitatis“ staną się odtąd dla całego Zachodu polsko-litewskie ziemie. Patrzała ona z miłością na swe królestwo, starając się służyć mu swą osobą i swymi zasobami. Jej hojnością wsparta Kazimierzowska Akademja stanie się prawdziwą „Alma Mater“ polskiego narodu. Uniwersytet Jagielloński przetrwa burze rozbiorów i jako duchowa moc polskości, doczeka się znów Niepodległości Polski.

Nic też dziwnego, że taki kult otaczał i otacza tę jasną postać niewieścią, nic dziwnego, że kult królowej Jadwigi jest tak głęboko z polskością związany. Dziś zaś, gdy nie możemy wskrzesić zmarłej przed pięciu wiekami królowej, możemy prosić i błagać Ją o opiekę i orędownictwo u Boga. Tem więcej, że i dziś ciężkie przeżywamy czasy — czasy grożącej fali ateizmu, czy antyreligijnych prądów. Ufność narodu polskiego, położona w opiece królowej Jadwigi, jeżeli równą będzie czci, jaką Polacy od wieków Ją otaczają — zapewnić może Polsce i jej mieszkańcom dalszą, zaziemską już, Jej opiekę. Ale obecnie, zamiast ofiar swej szkatuły i swego serca, rzucić może królowa Jadwiga na ziemie Polski wyproszone przez Nią u Stwórcy zdroje łask".

„Niezwykle wspaniałym hołdem, złożonym pamięci królowej Jadwigi, stała się uroczysta Akademja ku czci młodocianej Królowej, urządzona w złotej sali Domu Katolickiego w Krakowie. Akademję zaszczycił swą obecnością J. E. ks. kardynał prymas August Hlond, którego wejście na salę zebrana publiczność powitała frenetycznymi oklaskami. W pierwszym rzędzie krzeseł zajęli miejsca J. E. ks. metropolita Teodorowicz, J. E. ks. metropolita Sapieha, ks. biskup Adamski, ks. biskup Rospond, przedstawiciel p. wojewody p. naczelnik Żółkiewicz, prezydent miasta Krakowa płk. Wł. Belina-Prażmowski, pułk. Bolesławicz imieniem D. O. K. V, Kapituła Metropolitalna z ks. infułatem Ślepickim na czele, Senat Akademicki U. J. z ks. prorektorem Michalskim na czele, prezes Sądu apelacyjnego Dr. Parylewicz, profesorowie U. J., rektorzy seminarjów duchownych i wielu innych. Dalsze miejsca na sali, podobnie jak i galerje, wypełniła tłumnie zebrana katolicka ludność Krakowa. Estradę udekorowano artystycznie — na złocistem tle wspaniale odbijał gobelin trojański (wła-

snośċ hr. X. Pusłowskiego). Poniżej ustawiono szereg wazonów palm i kwiecia.

Akademję rozpoczęła produkcja chóru Towarzystwa Oratoryjnego, który z towarzyszeniem orkiestry pod dyrekcją Stefana Barańskiego wykonał „Chorał Bogu Rodzica“ w kompozycji M. Sołtysa. Następnie wstąpił na estradę, witany żywiołową burzą oklasków, J. E. ks. metropolita Sapieha, wyrażając swą radość, że dziś, w czasach, tak potrzebujących granitowych charakterów, wznawia się starania o rozszerzenie kultu tej młodocianej królowej, której postać od pięciu wieków żywym blaskiem jaśnieje pośród polskiego narodu. Jeżeli Polska z końcem XIV wieku przeżywała przełomowe dla niej czasy — to nie mniej i przełomową może być dla ducha polskiego katolicyzmu chwila obecna — to też fakt tak wielkiego zainteresowania się i niezmiernego entuzjazmu, jakim cieszy się myśl o szerzeniu kultu królowej Jadwigi, winien stać się pomyślnym horoskopem w pracy nad zwalczaniem przez katolicyzm atakujących go przeciwności. Z kolei zabrał głos J. E. ks. arcybiskup Teodorowicz, mówiąc o „Cnotach chrześcijańskich w życiu królowej Jadwigi“.

Po przemówieniu ks. arcybiskupa Teodorowicza chór Towarzystwa Oratoryjnego odtworzył „Fragment“ z oratorjum M. Sołtysa p. t. „Śluby królewskie“, poczem przemówił przybyły z Warszawy prof. Uniwersytetu Warszawskiego Oskar Halecki na temat „Spuścizna dziejowa królowej Jadwigi“. Naszkicowawszy na szerokiem, ogólnodziejowem tle wieków średnich związki rodzinne Jadwigi, przeszedł prelegent do omówienia rezultatów jej politycznej i kulturalnej działalności. Jeżeli już sam fakt łączności krwi z najwybitniejszemi dynastjami Europy ówczesnej predestynował niejako zdolności polityczne młodocianej królowej, a raczej króla — to talent, z jakim zdołała ona rozwiązać najzawilsze problematy polityki ówczesnej i przetworzyć w zachodniego męża stanu i gorliwego chrześcijanina półdzikiego kniazia litewskiego — wykracza poza prze-

ciętne, a nawet nieprzeciętne rezultaty politycznych zdolności człowieka. Ale jeżeli spuścizna dziejowa Jadwigi była tak potężną, że sięgnęła i sięga w dalekie wieki po jej zgonie, jeżeli zbratała na długi czas trzy sąsiednie narody, wytrąciła krwawy miecz z zakonno-rycerskich rąk, roznieciła blask wiedzy i kultury u stóp Wawelu i na terenach pogańsko-schizmatyckich rzuciła trwały siew katolicyzmu wraz z pierwszymi zaczątkami unji kościelnej — to w tem wszystkiem kryje się nie mniej głęboki tragizm jej duszy. Jadwiga nie doczekała błogosławionych rezultatów swej akcji — umierała, rzucając tylko posiew, nie zbierając owoców. Nie doczekała ani unji politycznej, ani kościelnej, podwoje Akademji krakowskiej rozwarły się w rok po jej zgonie; po jej zgonie również nadszedł Grunwald i u schyłku życia swego dopiero uderzył Jagiełło w strunę jej dobrego i pełnego miłości ku uciśnionym serca, nakazując starostom wysłuchiwać skarg pokrzywdzonych i brać ich w opiekę. Lecz jeżeli wypadki te ujmiemy okiem ścisłego historyka, ale opartego na chrześcijańskiej filozofji dziejów, tej filozofji, która od wieków snuje nici, zawarte po raz pierwszy w Civitas Dei św. Augustyna, to wyznać musimy, że Bóg, oddziaływując na bieg dziejów, wybrał Jadwigę, jako narzędzie swe i jej działalnością przeprowadzał swoje zamiary.

Następny mówca, prof. Uniw. Jag. Jan Dąbrowski, mówił o „osobistości królowej Jadwigi", charakteryzując ją jako człowieka i wskazując, że te właśnie cnoty jej i zalety, jako człowieka, porywały ku niej tak jej współczesnych, jak i potomnych. Już w domu rodzinnym otaczała Jadwigę atmosfera, która uczyła ją, że godność królewska leży przedewszystkiem w wielkości i szlachetności duszy, atmosfera prawdziwej pobożności i oddania się wiernie sprawie Kościoła, które to cnoty zaznaczyły się tak doniośle w jej życiu. Wielkie, jak na owe czasy, wykształcenie Jadwigi i szacunek dla nauki, które tak wspaniały po sobie pozostawiły pomnik, łączyły się z wielkim smakiem i poczuciem

artystycznem, widnem w jej pracach i jej darach. Te zalety osobiste królowej cenić trzeba tem wyżej, że znalazłszy się w Polsce jako małe, 11-letnie dziecko, wyrwana z kraju rodzinnego, znalazła się w otoczeniu ludzi, choć życzliwych, ale obcych i małżonka, który trzykrotnie od niej starszy, a daleki od niej kulturą i zwyczajami, nie mógł stworzyć dla niej tej atmosfery rodzinnej i tej atmosfery kulturalnej, do której nawykła. Zastąpiła ją królowa pracą dla biednych i uciśnionych i organizowaniem wielkich instytucji kościelnych i naukowych. Władysław Jagiełło dopiero po wielu gorzkich doświadczeniach późniejszego życia zrozumiał, czem był dlań pierścień królowej Jadwigi; wróciło do jej pamięci w dobie rozbiorów społeczeństwo nasze, które zbyt długo o niej zapomniało i nauczyło się cenić tę wielką po niej spuściznę, którą do dzisiaj żyjemy.

Akademję zakończyło przemówienie J. E. ks. prymasa kardynała Hlonda. Podkreślając swą radość, że tu, w Krakowie, kędy w murach katedry wawelskiej spoczywają doczesne szczątki Jadwigi, rozpoczęła się akcja szerzenia jej kultu — wyraził J. E. ks. kardynał nadzieję, że akcja ta przynieść może niezmierne rezultaty dla narodu i społeczeństwa polskiego.

Mimo spóźnionej pory, z żalem prawdziwym opuszczali zebrani salę, unosząc ze sobą niezapomniane wrażenia tak głębokich myśli, owiani czarem tej może jedynej w swem pięknie i młodości polskiej Królowej.

NA ZWALISKACH PRZESZŁOŚCI.

EDWARD WOYNIŁŁOWICZ
W OSTATNICH LATACH SWEGO ŻYCIA.

Dnia 16 czerwca 1928 roku zmarł na wygnaniu, w Bydgoszczy, Edward Woyniłłowicz. „Prasa — słusznie zauważył wówczas p. J. Lutosławski — bez względu na kierunek, zarejestrowała stratę, nie rozumiejąc jej istoty“. Natomiast w mowach, wygłoszonych na pogrzebie, oraz w nekrologach, pisanych piórem jego przyjaciół, jednogłośnie nazwano go wielkim obywatelem, nawet wielkim człowiekiem.

Czem mamy tłumaczyć to uczucie gorącej sympatji, podziwu i czci, jakie zmarły budził ku sobie?

Rozległość i bystrość myśli, sąd o ludziach i rzeczach jasny, niepospolicie silny i żywy zmysł społeczny wraz z płynącem ztąd niemniej żywem poczuciem obowiązków obywatelskich, głęboka religijność, równie daleka od czczej dewocji, jak od sentymentalnego marzycielstwa, a oparta na rzetelnem przejęciu się duchem nauki Chrystusowej, dzięki temu tak niezmiernie rzadkie u nas zrozumienie tej prawdy Ewangelicznej, że nie jest człowiek, zwłaszcza człowiek zamożny, samowładnym panem swego mienia, lecz tylko włodarzem u Boga, przed którym będzie musiał złożyć rachunek z użytku, jaki zrobił z tych dóbr wszystkich, które mu Bóg dał, skąd hojna ofiarność na cele filantropijne i publiczne, której dowodem, szczególnie wspaniałym, był okazały, wyłącznie kosztem jego wzniesiony kościół w Mińsku — poza tem, obok wymienionych przymiotów umysłu i serca, staroszlacheckie, rubaszne i zarazem przyjacielskie w stosunkach z ludźmi ujęcie — oto dlaczego tak go powszechnie lubiano, podziwiano i sza-

nowano. Nie wystarczałoby to oczywiście do nazwania go wielkim; wielkim w oczach społeczeństwa jest ten, w kim ono widzi żywe wcielenie idei, wszystkim jednako drogiej. Ale Edward Woyniłłowicz był właśnie żywem wcieleniem miłości do matki-ziemi, co go urodziła i wychowała, był z nią zrośnięty wszystkiemi tkankami swej duszy. Gdy mówił, doznawałem dziwnego nieraz wrażenia, że przez usta jego mówi matka-ziemia białoruska, że w słowach jego zawarte są esencje myśli i uczuć tych długich, długich szeregów pokoleń, które na ziemi i z ziemi tej żyły, na niej i dla niej pracowały i cierpiały.

Niestety, po zmartwychwstaniu Polski owoce pracy jego pracowitego życia zmarnowane zostały w dzień jeden, „przez lęk owych ludzi małej wiary — jak delikatnie się wyraził senator Roman Skirmuntt — których dziełem jest smutnej pamięci traktat Ryski". Mimo to człowiekiem przeżytym Edward Woyniłłowicz nie był i wraz z R. Skirmunttem ubolewamy, że „osoba jego została zupełnie na uboczu, gdy polska arka przymierza, po uciszeniu potopu, wreszcie na stałym lądzie osiadła".

Z ziemi przodków swoich wygnany, osiadł w Bydgoszczy. Czuł się Litwinem, oczywiście nie w dzisiejszem, lecz w historycznem znaczeniu tego wyrazu, t. j. obywatelem W. X. Litewskiego, unją z Koroną Polską złączonego. Obco mu było na Kresach Zachodnich państwa, którego obywatelstwo posiadał — i dlatego powiedziałem, że zmarł na wygnaniu.

O tem jego przywiązaniu do ziemi przodków, do ojczyzny w ciaśniejszem znaczeniu wyrazu, wymownie świadczy list, który napisał do mnie po przeczytaniu odczytu, wygłoszonego przeze mnie na obchodzie stulecia Syrokomli; przytaczam z niego ustępy:

„Ogromną ma zasługę Sz. Prof. Dobrodziej, że wydobył z pod kurzu literackiego naszego poetę kresowego, tak mało docenianego przez wielu historyków literatury, a tak ukochanego przez ludzi mego pokolenia, specjalnie ludzi ze

stron naszych rodzinnych, bo to przecież syn naszego Słuckiego Polesia, którego szczególnie w młodych latach wieku rozumieliśmy i odczuwaliśmy jakotako, co ukochał to wszystko, cośmy sami instynktowo ukochali i opisywał to wszystko, na cośmy od dzieciństwa patrzeli, nie rozumiejąc nawet, że to wszystko tyle wartości posiada. Pamiętam, jak w latach dziecinnej nauki kazano mi się zachwycać takiem arcydziełem, jak Pan Tadeusz, ale poezje Syrokomli czytałem i rozumiałem bez rozkazu — i dziś jeszcze, kiedy z bogatej książnicy, jaką miałem, ocalał mi przypadkowo tom III wydania zupełnego z 1872 roku, odczytuję po raz nie wiem który Ułasa, Janka Cmentarnika, Stare Wrota i t. p., lubuję się jego krajobrazami, tłumaczącymi szary nastrój duszy białoruskiej i ze szczególną przyjemnością podkreśliłem na str. 22 ustęp, w którym Pan zaznacza, że zrozumienie poezji Syrokomli stanowi poniekąd granicę między Koroną a niegdyś W. X. Litewskiem; tylko takim, a nie innym Litwinem był sam Syrokomla. Słusznie też podkreśla Pan, że nacjonalizm, to może bezmyślny spadek po rządach zaborczych i lękam się mocno, że, jak w Weselu, Polska nosi tylko sznur, a złoty róg, który niegdyś głosił w Rzeczypospolitej swobodę wszelkich wyznań i uczuć narodowościowych i zniewalał kniazia Ostrogskiego budować cerkwie w pieczarach kijowskich, dziękując Bogu za pobicie Moskali pod Orszą — gdzieś zaginął. Odczyt profesora może jednak da początek nawiązaniu pewnych nici tradycyjnych między ideałem, dla których tyleśmy pracowali i cierpieli, a obecną, nową, ale nie na daleką metę obliczoną koncepcją“...

Obraz „Złotego rogu“ Wyspiańskiego przypadł do duszy i utkwił w pamięci Woyniłłowicza, używał go nieraz, mówiąc o Polsce dzisiejszej. Żył, jak powiedziałem, ideą unji Litwy z Koroną, unji, opartej na konieczności wspólnej obrony przeciw obu kolosom — od Zachodu i Wschodu. Niestety, wobec zjadającego dzisiejszą Europę raka nacjonalizmu, idea ta dziś jest anachronizmem, utopją.

Szlachcic, zrośnięty z ziemią przodków, jest z natury i usposobienia konserwatystą, antyrewolucjonista i tylko w razie nadzwyczajnych okoliczności gotów bywa wstąpić na drogę rewolucyjnych knowań i działań. Takim faktem nadzwyczajnym była dla nas utrata niepodległości; o jej odzyskanie walczyli ojcowie nasi w ciągu prawie stulecia bez względu na to, że czekać ich mogła śmierć męczeńska, albo katorga, albo więzienie z konfiskatą majątku. Następstwa ich bohaterskich zmagań z wrogiem okazały się straszniejszemi, niż wszystko najgorsze, co się przypuścić dawało. Jeszcze jedno powstanie po 1863 r., a polskość zostałaby ostatecznie zniszczona na Litwie i Rusi, poważnie zaś zachwianą w Królestwie. Wobec tego idea walki orężnej ustąpiła miejsca idei pracy organicznej, ta zaś prowadziła za sobą politykę t. zw. ugodową. „W najgorszych, jakie dadzą się pomyśleć warunkach — nauczał Jerzy Moszyński — nawet w zakresie narzucanych przez zaborcę ustaw i praw w celu zniszczenia Polski, nawet ustawy te i prawa przyjmując, Polak, miłujący ojczyznę, dokonać może wielkich rzeczy, o ile zdoła ideę ojczyzny ująć nie materjalnie, lecz duchowo, ze stanowiska pracy w winnicy Pańskiej, do której powołał Zbawiciel każdego człowieka, każdy naród“. To samo było myślą Woyniłłowicza. Ale wyrobiony i zrównoważony, nie dawał folgi temperamentowi, jak Moszyński, nie wyprowadzał z myśli swojej wniosków, drażniących uczucie i sumienie powszechne.

Zaliczyłbym Woyniłłowicza do typu, który w Galicji mianem Stańczyków ochrzczono, choć politykę ugodową charakteryzuje Wł. Studnicki w „Przeżyciach i walkach“, jako dzieło tych, co się „w mysie dziury chowali w 63 roku i wyszło od nich na świat pokolenie, jakby z martwych ludzi złożone“. W poczuciu jednak niesprawiedliwości wyroku swego, poprawił się autor w ustępie o Stańczykach: „Twórcy tego kierunku: Józef Szujski, hr. Stanisław Tarnowski, Koźmian, brali czynny udział w powstaniu 1863 roku, klęski powstania i popowstaniowe sprawiły, że nie „kojarzyły

się u nich z myślą wyzwolenia, a tylko z myślą o pogrążeniu narodu w gorszą niewolę". Dawni spiskowcy, jakby zaprzysięgli niechęć do spisku, do wszelkiej konspiracji. Oni to stworzyli aforyzm, że Polskę „zgubiło „liberum Veto", a nie daje podźwignąć „liberum conspiro". W duszach tych ludzi tkwił gorący patrjotyzm, „lecz obawiali się patrjotyzmu, jak ognia, który pali". *).

Politycznie najbliższem było Woyniłłowiczowi stronnictwo polityki realnej, stanowiące grupę nieliczną, a poważną, która, nie wyobrażając sobie możliwości zbrojnego ruchu, a brzydząc się przymierzem z żywiołami czerwonymi, starała się wszelkiemi siłami, niestety z małym skutkiem, wyjednywać u rządu jakiekolwiek, choćby drobne ustępstwa, czyli ulgi w polityce rusyfikacyjnej. Zachowaniem się zaś swojem, godnością, powszechne uznanie zdobywała. „Gdyby nam dać, czego nie mamy — pisał do mnie Edward Woyniłłowicz przed samymi wyborami do I-szej Dumy 16.VIII 1905 r. — miarę i zrozumienie stanowiska, które wobec potężnego kolosu rosyjskiego zająćby nam należało, moglibyśmy dokonać wielkich rzeczy w przyszłej Radzie Narodowej, nietylko przechylając się do jednej, bądź do drugiej partji, ale jako synowie kultury Zachodu, stale dążący do ideałów, przez jej tradycje postawionych, moglibyśmy służyć za drogowskaz dla jednych, za cement dla drugich. Szczególnie wybitna rola mogłaby wypaść przedstawicielom Litwy i Rusi, będącym naturalnym pośrednikiem między kołem polskiem, złożonem z wybrańców Królestwa, a przedstawicielami gubernji rosyjskich. Bardzo się lękam, żeby pierwsze koło posłów naszych nie składało się z ludzi tylko popularnych, nie zaś zdolnych i pracowitych. Zebranie przedwyborcze dużoby wyjaśniło. Skorobym miał adres p. Brzeskiego, posłałbym mu oznajmienie i byłbym rad, aby on od nas przedstawicielem został".*).

---

*) „Z przeżyć i walk". Warszawa, 1928, str. 327.

*) Starałem się wówczas przeforsować kandydaturę mego towarzysza lat szkolnych, a najbliższego przyjaciela, ś. p. Mikołaja Brzeskiego.

W duchu słów powyższych rozpoczął Woyniłłowicz pracę swoją w Radzie Państwa, zrazu jako członek, potem jako prezes Koła Polaków z Litwy i Rusi.

Ś. p. Eustachy Dobiecki opowiadał mnie, że premjer Witte, ten niewątpliwie najwybitniejszy z mężów stanu, jakich Rosja kiedy wydała, wyróżniał go wśród wszystkich posłów polskich. „Oto jedyny Polak — wyraził się w rozmowie z Dobieckim — któregobym chciał, gdyby to było możliwe, mieć jako ministra w gabinecie moim". Ale możliwe to nie było w atmosferze rozszalałego nacjonalizmu rosyjskiego, przeciw któremu nawet potężny Witte był bezsilny. Natomiast zaproponowano mu później, w epoce Stołypina, stanowisko wiceministra rolnictwa. Oczywiście nie przyjął, nie wypadało prezesowi Koła Polskiego zejść na miejsce drugorzędne w hierarchji urzędniczej.

Zgodnie z zajętem przez się stanowiskiem politycznem Woyniłłowicz był w stosunku swoim do rządu rosyjskiego zawsze lojalny i w lojaliźmie swoim szedł może niekiedy za daleko. Miał z tego powodu przed wojną i w czasie wojny przeciwników, którzy go surowo krytykowali. Po czyjej stronie leżała słuszność? Pamiętam, jak w epoce pierwszej rewolucji, gdy usiłowałem wzajemnie do siebie zbliżyć nasze koła polityczne i prawicę opozycyjną rosyjską, uderzyły mnie słowa człowieka niepospolicie rozumnego i prze-

---

Był autorem znakomitej, w sferach naukowych rosyjskich wysoko cenionej rozprawy o długach państwowych Rosji i współpracownikiem Wittego w jego planach co do naprawy finansów rosyjskich. Pochodził z Mińska, mieszkał w Petersburgu. Niestety, starania moje były daremne. Jako niezbity przeciw niemu argument przytaczali ludzie, skądinąd inteligentni, że, przebywając w Petersburgu, nie ma on pojęcia o sprawach gub. Mińskiej. „Będzie — odpowiadałem na to — sześciu posłów mińskich do gadania, przypuśćmy, o wąskotorówce z Nowojelni do Nowogródka, pozwólcież, aby siódmy zaimponował Dumie i całemu imperium znajomością tego, co najważniejsze, t. j. spraw budżetowych". Nie trafiło to do przekonań. Brzeski przyjechał jednak na wezwanie moje do Mińska. Delikatny i skromny z usposobienia, z poglądami swymi się nie narzucał, gdy go nie pytano i kandydatury swej nie postawił, wnosząc z nastroju ogólnego, że nie ma ona widoków na powodzenie.

myślanego, ś. p. Jana Popiela, wyrzeczone w rozmowie ze mną z powodu owej mojej „polityki". „Jeśli ugodę robić, to tylko z monarchą, nigdy z narodem; od monarchy można się spodziewać ustępstw, to znaczy aktu łaski, od narodu w żadnym razie". Słowa te wydały mi się wówczas dziwactwem ultrakonserwatywnego konserwatysty; dziś sądzę, że raczej Jan Popiel miał słuszność i sądzę również, że owe słowa wyrażały także myśl Edwarda Woyniłłowicza, ale samodzielną jego myśl; Jana Popiela on nie znał i nawet o nim nie słyszał.

Po wojnie, w Polsce niepodległej, wszystkie różnice w odcieniach poglądów u nas, Polaków z Litwy i Rusi, zatarły się, przynajmniej chwilowo, pod obuchem wielkiego nieszczęścia, które na nas wszystkich spadło. Był to traktat Ryski, który zbrodnią Ryską nazwałem. *).

Władysław Studnicki przytacza we wspomnieniach swoich słowa, wyrzeczone jeszcze w r. 1908 przez człowieka, który w następstwie, w pierwszych latach niepodległości, należał jako poseł, później minister, wreszcie jako premjer, do ludzi najbardziej wpływowych w Polsce. „Nasze ziemie historyczne są tylko historją i nie wiele winny nas obchodzić; wolę jedną parafję w Poznańskiem, niż cały powiat Nowogródzki". Z tym poglądem, raczej wybrykiem myśli przyszłego premjera, zestawmy pogląd szlachetnego i wybitnego publicysty Niemca, barona K. O. Soden'a, który spędził w Polsce koło dwóch lat.

W r. 1926 był w Wilnie. „Die Kresy sind die wahren Interpreten der Geschichte Polens" — czytamy w jego „Polnische Erinnerungen", w rozdziale o Wilnie *). Na politykę polską kresową spojrzał okiem krytycznem; nie zawahał się jednak oświadczyć z całą stanowczością, że Kresy są dla Polski

---

*) Por. M. Zdziechowski: „Europa, Rosja i Azja" (Wilno, 1923).

*) p. t. „Zwielicht des Ostens" w „Allgemeine Rundschau" (München, 1927, Nr. 21—25).

koniecznością (L e b e n s n o t w e n d i g k e i t), że bez nich Polska się nie ostoi. Zamknąć się w granicach ściśle etnograficznych, to zerwać z całą tradycją przeszłości, zrzec się swego charakteru, „odebrać sobie życie“. Niesłychanie dużo dawały Kresy Polsce i na Kresy iść trzeba, chcąc genjusz Polski wykryć. W tajemniczej postaci Wernyhory usymbolizował się ów proces, który w duszę Polski wnosił elementy nowe, nieznane, trudno uchwytne, nieraz niebezpieczne, ale tak bujne, bogate: „I n d e n K r e s y l i e g t d a s G e s c h i c k P o l e n s“. Niestety, Kresy dzisiejsze są tylko drobną cząstką owych rozległych krain, „które rozjaśniał w przeszłości polski renesans, polski barok“.

Pogląd owego ministra nie był tylko osobistym jego poglądem; był wyrazem opinji powszechnej. Chciano się pozbyć ziem Wschodnich, zwłaszcza szlachty tamecznej, której obecność drażniąco działała na ówczesną arcydemokratyczną „ludową“ Polskę. Dlatego to posłano do Rygi, jako delegatów, ludzi całkowicie obcych Litwie i Rusi, nie mających żadnego wyobrażenia o tych krajach, żadnej do nich sympatji.

Dla nas wszystkich, którzy stamtąd pochodzimy, traktat Ryski był ciosem bolesnym, ale najboleśniejszym był dla Woyniłłowicza. Nie spotkałem nigdy człowieka, głębiej przywiązanego do ziemi swojej i tak poważnie biorącego wynikające stąd obowiązki. „Wszystkie te głowy — pisał do mnie — w Wielkopolsce, w Małopolsce, w Kongresówce, tak są zakute, tak dalekie od zrozumienia zbrodni, względem Kresów popełnionej i straty, którą państwo wskutek tego poniosło“. Wszak uchwalono tam w Rydze czwarty rozbiór Polski. „Wieczna hańba tej komisji pokojowej — czytamy w jego W s p o m n i e n i a c h — złożonej nie z mężów stanu, a tylko według klucza partyjnego wyłonionej z sejmu. Tego sejmu, który ledwo się zdobył na quorum przy ratyfikowaniu Traktatu Wersalskiego, a miał ła-

wy przepełnione przy sprawie koszenia potrawu i koniczyny w Galicji".

Gdy Woyniłłowicz słowa te kreślił (13 października), można było jeszcze łudzić się, że część sejmu oświadczy się przeciw haniebnym warunkom traktatu. Minęło dni kilka, a „suwerenny Sejm" warunki te potwierdził: „Gdyby pokój w Rydze był dziełem pewnych tylko partji, możnaby odpowiedzialność nie na cały naród wkładać, ale naród nigdzie się nie odezwał, nigdzie nie zaprotestował; nie odezwało się nigdzie ani serce, ani sumienie narodu polskiego; sejm jednogłośnie, bez żadnej opozycji, traktat Ryski ratyfikował. Nie było tam ani jednego Reytana, któryby zaprotestował przeciw czwartemu rozbiorowi kraju". Co wobec tego mieli począć ziemianie z Kresów? Związek Polaków z Kresów Białoruskich zwołał w Warszawie zebranie; przyszło 500—600 osób. Prezydował Woyniłłowicz. „Wszystko się tłoczyło — opowiada — a twarz każda wymęczona, beznadziejna", na każdej maluje się poczucie krzywdy doznanej. Gwoździem zebrania było sprawozdanie p. Mirosława Obiezierskiego, który dopiero co wrócił z Rygi, dokąd wysłany był, dzięki zabiegom Kresów, jako rzeczoznawca. Ale nie powoływano go tam do opinjowania, ani jego towarzyszy; zmuszeni byli milczącymi być świadkami hańby, przeciw której nie mieli możności podniesienia głosu. Joffe, delegat sowiecki, z upoważnienia Moskwy chętnie ustępował Kresy aż po Dźwinę i Dniepr. Nie przypuszczano w Sowietach, że po wojnie zwycięskiej Polska mniej żądać będzie, ale delegaci słyszeć o tem nie chcieli, jeden z nich miał się wyrazić, że „trzeba raz Polsce pozbyć się wrzodu Białoruskiego".

Zgromadzeni rozeszli się pod ciężkiem wrażeniem i w ciężkiem poczuciu bezradności. Zapewne — kończył autor ustęp ten — w innym nastroju wysłuchano w Kremlu sprawozdania Joffe'go, w którem pochwalić się mógł, że nierównie więcej, pomimo przegranej wojny, otrzymał, niż zamierzał i że nakoniec Polska wyrzekła się idei Jagiellon-

skiej, a pierwszy Sejm wolnej Polski zatwierdził rozbiór kraju, przeciw któremu naród przez sto zgórą lat powstawał *).

Pierwszym rezultatem ustanowionej linji rozejmowej było, że bolszewicy rozstrzelali w Mińsku 140 osób, których nazwiska podano woj. Władysławowi Raczkiewiczowi, dzisiejszemu marszałkowi senatu *). Nie wolno zaś zapominać, że pociągnięto całą ludność polską na Kresach do współdziałania, obiecując, że Polska jej nie opuści, tymczasem rzucono ją bez żadnych zastrzeżeń obrony życia i mienia na pastwę dziczy sowieckiej! Czy nie było to obowiązkiem elementarnej uczciwości ratować od zemsty bolszewickiej wszystkie te zaścianki w okolicach Ihumeńsko-Mińskich i Słuckich, które tylu dały ochotników do wojska polskiego?

Odtąd miał siebie za rozbitka, na obcy brzeg wyrzuconego, wracał do tego stale w rozmowach i listach. „Otrzymałem — pisał — odezwę z Wilna z prośbą o współpracownictwo w „Głosie Polaków Zakordonowych". Nie wierzę w egzystencję dłuższą tego organu: kto go będzie czytał i popierał! Wszak w Polsce czekają tylko, abyśmy wymarli prędzej i wyrzutem sumienia przed państwem nie stali, a każdy Zakordonowy — to goły biega za chlebem powszednim; gdzie jemu gazeta?".

Nie przeszkadzało to jednak wyrzuconemu na obcy brzeg rozbitkowi gorąco brać do serca sprawy państwa polskiego, zwłaszcza, gdy o honor narodu chodziło: z tego względu szczególnie go bolał stosunek do Sowietów: „Wszak Polska — pisał — zabezpieczona chyba tym pewnikiem, że wszelka wojna zewnętrzna byłaby końcem dla Sowdepji, mogłaby śmiało patrzeć wrogowi w oczy i nie dawać się rządzić przedstawicielstwu bolszewików w Warszawie, jak niegdyś, za czasów ks. Repnina; wszystkie te

---

*) ib. str. 299.
*) ib. str. 300.

objawy uniżoności po incydencie z Wojkowym, jakże ciężko zraniły honor narodowy — nie jużciby on miał być w nurtach Elstery utopiony?".

Choć miał siebie za zapomnianego, nie zapomniano o nim w sferach rządowych i ze zdumieniem wyczytałem w gazecie jakiejś o odznaczeniu byłego sędziego pokoju, inżyniera Woyniłłowicza, orderem Polonia Restituta klasy 4-tej. O tem, że Edward Woyniłłowicz ukończył instytut technologiczny w Petersburgu z dyplomem inżyniera, wiedzieli chyba tylko najbliżsi, o tem zaś, że był gdzieś kiedyś honorowym sędzią pokoju, dowiedziałem się dopiero z owej wzmianki kronikarskiej. Natomiast wiedziała cała Polska, że był długoletnim prezesem i niezmiernie czynnym kierownikiem towarzystwa Rolniczego w Mińsku, że pod względem powagi, jaką miał w społeczeństwie swojem, nikt mu nie dorównywał, że wreszcie zajmował wysokie a odpowiedzialne stanowisko prezesa Koła Polaków Litwy i Rusi w Radzie Państwa w Petersburgu. Pamiętam, z jakiem przejęciem się wysoką godnością swoją i jej znaczeniem prezes Koła Polskiego w Wiedniu, hr. Wojciech Dzieduszycki, zwierzał się przedemną pod wrażeniem wojny Japońsko-Rosyjskiej i powstających stąd komplikacji, że przyjść może chwila, w której on, jako jedyny legalny wobec świata przedstawiciel Polski, będzie musiał głos zabrać. J e d y n y l e g a l n y. Duma rosyjska jeszcze wówczas nie istniała, zaś Koło Polskie w Berlinie nie miało i nie mogło mieć znaczenia. Słowem Edward Woyniłłowicz tem był w Petersburgu i wobec Rosji, czem w Wiedniu hr. Wojciech Dzieduszycki, a książę Ferdynand Radziwiłł w Berlinie. Ludzi, stojących na takiej wyżynie, albo się nie dekoruje, albo otrzymują odznaczenia wysokie; IV klasa dla byłego honorowego sędziego grodzkiego wydała mi się niedowcipnym żartem — i spotkawszy p. Edwarda w Warszawie, zamiast powinszowań, wyraziłem mu moją kondolencję. Był z niej rad: „Jak mam to odznaczenie rozumieć — pytał — chyba jako amnestję, jako rozgrzeszenie z grzechu całego życia,

że zamiast do powstania nawoływać, pracowałem na roli i politykę realistyczną uprawiałem".

Traktat Ryski miał i ma dotychczas jeszcze zwolenników swoich w naszym kraju, kierujących się logiką owego chłopa z Wiatki, który się skarżył w czasie wojny, że ich biorą w rekruty: „Po co, wszak Niemcy do Wiatki nie dojdą?". Niech więc bolszewicy tępią polskość w Mińsku, byleby nie zagarnęli naszego Wilenka. W tym duchu napisał artykuł w „Dzienniku Wileńskim" w r. 1927 prof. Stanisław Cywiński dowodząc, że Polska, aż do Dniepru i Bugu wysunięta, nie dałaby sobie rady z masą białoruską. Nie przeczę, że jest to argument poważny. W przekonaniu, że wywodom autora Woyniłłowicz dałby nierównie silniejszą i lepszą odprawę, niż ta, którąbym ja mógł napisać, zwróciłem się do niego z prośbą o napisanie odpowiedzi na ów artykuł. Wkrótce potem przez ręce moje przysłał on do „Słowa" wileńskiego rozprawę pod tytułem „Granice Polski w 1771 r. a w 1920 r.". Była surową krytyką traktatu i jego skutków. Między innemi słusznie napiętnował w niej autor rojące się po głowach różnych byłych ministrów pomysły utworzenia na kresach jakiejś Czerwonej Polski drogą osadnictwa, czy też wywłaszczenia szlachty; nie domyślali się ci panowie, że miejsce Czerwonej Polski zajęłyby bolszewickie hromady. W końcu — i to najważniejsze — stwierdzał Woyniłłowicz, że „za czasów rosyjskich, mimo prześladowania Polaków, autorytet Polski był na Kresach o wiele silniejszy, niż dziś, za suwerenności polskiej", czyli „siłę przyciągającą Kresy gdzieś Polska zapodziała, gdzieś straciła swój Złoty róg". „Nie wiem — pisał przy tem do mnie — jakich sposobów używają obecnie nauczyciele historji polskiej, aby wytłomaczyć młodemu pokoleniu, że rozbiory Katarzyny były zbrodnią, a traktat Ryski — zbawieniem".

Rozprawę tę redakcja poprzedziła artykułem wstępnym pod tytułem „Ostatni bojar białoruski". Choć napisany z sympatją dla autora, wyglądał trochę na nekrolog

i przytem znalazła się tam wiadomość, niezgodna z rzeczywistością: że Woyniłłowicz umieścił w swoich Sawiczach na grobach przodków napisy białoruskie. Gawęda ta powstała prawdopodobnie stąd, że przedwcześnie zmarły syn jego, jedynak, ochrzczony był imieniem Siemion, nie zaś Szymon. Woyniłłowicz posłał sprostowanie do „Słowa“, którego redakcja umieścić jednak nie chciała. Poczuł wtedy jakby żal do mnie, że go, niechcący, na przykrość i upokorzenie naraziłem. „Nie trzeba nigdy — pisał — wygrzebywać z pod popiołów zapomnienia ludzi, których, jak powiadają Rosjanie, piesienka spieta“. ...„Zresztą to, co napisałem, to debaty de lana caprina, wszak nikt traktatu Ryskiego nie zmieni i głos mój jest głosem w pustyni“.

Tegoż samego przedmiotu dotykał w innym liście: „Nie uważałbym za wstyd, gdyby napisy białoruskie były na grobach przodków moich i gdybym ja je położył. Ale że tego nie było, więc uważałem sprostowanie za wskazane, obecnie sprawę tę mam za wyczerpaną i nie chcę jej wznawiać — tylko uważam postępek redakcji za niekorektny, albowiem list był przezemnie podpisany, zatem mógł być w całości drukowany i za treść jego odpowiadałbym sam, a nie redakcja“. W post scriptum umieszczał interesującą i charakterystyczną notatkę, dlaczego syna swego nazwał Siemionem. „Bóg dał mnie syna blisko przed 50-tu laty, kiedy o ruchu Białoruskim mało co słyszano — nadanie więc imienia „Siemion“ nie miało żadnych motywów nacjonalistycznych — ale raczej dynastyczne, albowiem pierwszy dokument, znajdujący się w archiwum Sawickiem, kirylicą pisany i pieczęcią herbową przypieczętowany, był podpisany przez Siemiona Stetkowicza Woyniłłowicza. — „Stetko“ był widocznie ojcem Siemiona; po Siemionie poszli: Iwany, Borysy, aż dopiero w XVII wieku, pod wpływem zapewne Jezuitów, a może związków małżeńskich, zaczęły się: Ludwiki, Franciszki i t. d. i t. d. Od owego Siemiona przeszło dziesięć poko-

leń, myślałem, że Bóg pozwoli zacząć jedenaste — i to dało asumpt imię tego przodka nadać synowi. Bóg zrządził inaczej, wiedział, że gniazda rodzinnego pozbawieni będziemy: niech Imię Jego będzie błogosławione, a Kościół w Mińsku pod wezwaniem Ś. Ś. Szymona i Heleny niech będzie przebłaganiem za grzechy wszystkich zeszłych pokoleń".

Do tych słów ostatnich nic dodać nie potrafię, nic takiego, coby wierniej, lub silniej wyrazić mogło podniosłość duszy człowieka, który tak harmonijnie i tak zarazem oryginalnie łączył w sobie tradycje białoruskie i litewskie z tradycją polską i w tym duchu pracując, patrzał, z Hiobowem poddaniem się niepojętym a strasznym wyrokom woli Najwyższej, jak rozwiewały się tak w zakresie spraw domowych, jak na widowni działalności obywatelskiej, wszystkie plany i rachuby. Zmarł na zwaliskach w niwecz obróconej pracy całego życia, a bez tej pociechy, że cierpienia jego wydadzą jakiś plon w ukochanej ziemi ojczystej, którą oddano barbarzyństwu na zniszczenie.

Pociechę miał inną: świadomość, że wszystkiemi siłami i w zgodzie z sumieniem pracował dla dobra kraju. „Jedyną pociechą dla mnie — pisał w 1922 r. — jest przeświadczenie, że obrany przezemnie kierunek miał rzetelne dobro kraju mego najbliższego na celu i gdybym miał znowu zacząć żyć i pracować na miejscu, innegobym nie wybrał, chociażbym wiedział, że wszystko nowym traktatem Ryskim się zakończy". „Wdzięczny jestem ogromnie tym — z listu do mnie w 1924 r. — którzy mnie wydobywają z zapomnienia fali, lecz nie wątpię, że czas jest najlepszym sędzią i każdy się swej sprawiedliwości doczeka". . . .„Musimy pamiętać o sobie — dodawał w innem miejscu — bo pył zapomnienia już nas zasypuje". Sadzę, że miał tu na myśli pamiętniki z życia swego, które w ostatnich latach opracowywał.

Na zakończenie przytaczam list, napisany do mnie z powodu mojej pierwszej mowy rektorskiej przy rozpoczę-

ciu roku akademickiego 1925-6. Maluje on dokładnie stan duszy wielkiego obywatela.

Wielce Szanowny Rektorze Dobrodzieju!

Ogromnie jestem ujęty dowodem łaskawej pamięci Pana o człowieku, tak już za brzeg wyrzuconym, jak ja w obecnej dobie. Otrzymałem list z przemówieniem „Do Młodzieży“ i z wielce dla mnie cenną dedykacją autora; treść była mnie już znana ze „Słowa“ wileńskiego, a przemówienia oczekiwaliśmy oddawna, wiedząc, że Pan nie będzie się liczył ani z nastrojami, ani z okolicznościami, a wypowie prawdę — jaką w swem sumieniu czuje.

Nie łatwe zadanie wziął Pan na barki swoje: nastroić tak młodzież, aby była przedmurzem cywilizacji Zachodniej przed ideologją bolszewicką! — bardzo to pięknie — ale trzeba nie mieć tego wroga we własnym obozie — w ustawach sejmowych — w rozporządzeniach rządowych.

Doczekaliśmy się Sejmu w Warszawie po długich latach niewoli, ale czy choć jeden poseł będzie mógł się poszczycić, że był człowiekiem pierwszej izby prawodawczej polskiej!

Mamy nieść światło kultury zachodniej, a wyrzekliśmy się głównych podstaw prawa Rzymskiego i przykazań Mojżeszowych, niszcząc prawo własności i siejąc waśń wśród stanów Rzeczypospolitej, zamiast je łączyć ku wspólnej budowie gospodarstwa państwowego; nic więc dziwnego, że ze zbolałej duszy Pana wyrwał się okrzyk „miejcie litość nad Ojczyzną“. Proszę Pana wierzyć, że pesymizm mój nie pochodzi ze strat osobistych, poniesionych; mam je za niepowrotne; skończyłem 78 lat, wszystko znoszę, ponad zmiennością losów stoję i przetrwam do końca. Żal tylko tej pracy wiekowej, daremnej, nie przez wroga, a przez swoich przekreślonej. Przy braku zasad i braku uczciwości w trwałość odrodzenia trudno mi wierzyć. Daj Boże, aby Panu udało się natchnąć młodzież ideałami filaretów, by nie brała „iskier z czarta kuźni“.

Marjan Zdziechowski.

SPÓR O MANDŻURJĘ.

Zagadnienie mandżurskie odgrywa pierwszorzędną rolę w kompleksie wydarzeń ostatniej doby dziejowej — wywołało też okazałą już dziś literaturę po obu stronach zainteresowanych. Szczególną jasnością myśli i wyrazistym, męskim planem postępowania znamionuje się w tej sprawie polityka japońska — jak i odnośna jej literatura. Polityka chińska traktuje zagadnienie mndżurskie — poza taktyką swą na terenie azjatyckim — bardzo teoretycznie, zapominając przytem, że obie strony odstąpiły od zasad ściśle prawnych w tym sporze — w miarę biegu wypadków. Specyficzną rolę odegrała w nim Liga Narodów, okazując niewątpliwie wielkie niedołęstwo, począwszy od szumnej autoreklamy na łamach „Journal de Genève", kończąc zaś na stadjum obecnem. Dalecy od ubliżania Lidze Narodów, stwierdzić musimy, że, aczkolwiek byłoby bardzo dobrze dla Polski, gdyby gwarantka jej status quo, Liga, miała znaczenie istotnej potęgi, to jednak bezcelowem byłoby łudzić się, że autorytet Ligi załatwi należycie kwestje sporne i zdać się na to w spokoju. Nie idzie tu bowiem o to, jak przedstawia się sytuacja mandżurska wedle zasad idealnej sprawiedliwości, ale o to, co należy czynić rebus sic stantibus w świecie dla poparcia własnej racji stanu. Mętny nader stan prawny, zamglony nadto przez gadatliwe interpretacje, doprowadził z jednej strony do koniecznej potrzeby samopomocy (strony walczące!), z drugiej zaś nie potrafił — przez tak długi czas istnienia Ligi — skonstruować i ustalić nawet tak zasadniczego pojęcia, jakiem jest pojęcie napastnika!

Jakże przedstawia się sama istota sporu mandżurskiego? Spór mandżurski ma starą tradycję: pierwsze starcie

japońsko-chińskie miało miejsce około 663 roku naszej ery i zakończyło się wówczas sukcesem Chin. Ponownie, po wielu, wielu latach, podjął tę ideę ekspansji japońskiej Hideyoshi, ale musiał poprzestać jedynie na Korei (1592 r.). Z biegiem czasu wyłonił się na dalekowschodnim terenie partner rosyjski. Po naruszeniu przez Chiny traktatu w Tien-tsin, Japonja, pokonawszy je, zyskuje Formozę, Peskadory, Liao-tung i koncesje (w Simonoseki, 17 kwietnia 1895 r.). Pod naciskiem mocarstw traci jednak prawie wszystkie swe zdobycze. Dopiero Portsmouth (1905) przynosi jej protektorat nad Koreą, szereg praw dzierżawnych, połowę Sachalinu — a fakty te nie są bez wpływu na zagadnienie mandżurskie. Oficjalnej aneksji Korei dokonała Japonja w r. 1910.

Za właściwy teatr kwestji mandżurskiej słusznie uważa p. Witold Bronowski („Konflikt zbrojny Chin i Japonji", „Wschód", R. III, Nr. 3—4, str. 15) cztery prowincje północno-wschodnie, t. j. Kirin i Hei-lung-kiang (Mandżurja Północna) oraz Fengtien t. j. Mukden (Mandżurja Południowa) i obwód Jehol (właściwie część Mongolji Wewnętrznej). Szanghaj był pociągnięciem taktycznem Japonji — nie wiązał się więc z kwestją mandżurską ściśle, gdyż służył jako atut i manewr. Polityka japońska w sprawie mandżurskiej jest daleko perspektywiczna i nacechowana planowym systemem: rozbudowa sieci kolejowej na terenie przyszłej ekspansji staje się jej poważną bazą. Aktywizm Japonji w Wielkiej Wojnie stwarza jej specjalne konjunktury, które stara się ona wyzyskać (słynnych 21 żądań, podległych potem modyfikacji) i wyzyskuje istotnie w r. 1915 w traktacie mandżurskim oraz w „umowie Lansing-Ishii" (1917 r.), kiedy to Stany Zjednoczone A. P. uznają specjalne interesy japońskie w Chinach, w szczególności w ich części, graniczącej z posiadłościami japońskiemi. Ekspansję Japonji w kierunku Mandżurji wstrzymuje na czas dłuższy „Pakt Dziewięciu Państw" z 1922 r. Jednak lata ostatnie zrobiły swoje: załoga japońska, stacjonująca w Man-

dżurji na podstawie traktatowej, zaatakowała i opanowała Mukden w drodze represji za zamach na linję kolejową.

Dalsze kroki orężne japońskie przyniosły zwycięstwo nad Chińczykami. Japończycy zajęli Mandżurję Południową i część Mongolji Wewnętrznej, stykając się w obrębie linji kolei Wschodnio-Chińskiej ze sferą wpływów sowieckich. Bolszewicy, wysoce niezadowoleni z obrotu spraw, nie odważyli się jednak na protest stanowczy. Bombardowanie Szanghaju i zwycięstwo japońskie nad armją kantońską i nankińską są dziełem następnych miesięcy. W miesiąc po umowie z 5 maja 1931 r. Japonja ewakuuje swe siły z okolic Szanghaju, który znów otwiera się dla handlu z Chinami, ale bojkot towarów japońskich, wielce złośliwy i szkodliwy dla Japonji, trwa nadal. W marcu 1931 r. proklamowano niezawisłe państwo mandżurskie (Czang-czun stolicą, ks. Pu-Yi, syn ostatniego cesarza Chin z dynastji mandżurskiej — szefem państwa). Japonja uznała je zrazu de facto, a przed ogłoszeniem raportu komisji Lyttona — też de iure. Stany Zjednoczone (najbardziej tu zainteresowane obok Rosji i Chin) zmodyfikowały swe zrazu czysto negatywne stanowisko wobec nowego państwa Mandżu Go, przestrzegając jedynie przed naruszeniem Paktu Brianda-Kellogga. W. Bronowski bardzo słusznie twierdzi, że „sympatja tych mocarstw Europy, które mają specjalne interesy na Wschodzie, towarzyszy naogół stronie japońskiej. Jeśli zważymy, iż Japonja — a nie Chiny — jest czynną siłą oporu względem prądów i dążeń bolszewickich, zagrażających posiadłościom wschodnim tych właśnie państw, to decydujące powody takiego stanu rzeczy będą zupełnie jasne". „Ośrodek polityki światowej przenosi się na Daleki Wschód. Sprawy Azji — zaczną wkrótce nad europejskiemi górować. Jest rzeczą konieczną, abyśmy w Polsce zwracali na nie coraz baczniejszą uwagę".

Japończycy akcentują, że w Chinach tworzyły się od średniowiecza po dzień dzisiejszy wciąż nowe, wzajemnie antagonistyczne państewka. Nie było mowy tam o jedno-

ści. W stosunku do Mandżurji zdobywano się na najfatalniejsze koncepcje: oddanie Mandżurji do dyspozycji Rosji w latach 1896-8 wzamian za interwencję przeciwko Japonji. Rząd japoński dawał później rocznie piętnaście miljonów jen na ochronę linji kolejowych przed bandytyzmem chińskim. Zarzuty chińskie gwałtownej kolonizacji japońskiej w Mandżurji nie wytrzymują krytycznego światła cyfr. Właśnie z chińskiej strony odbierano Koreańczykom prawa dzierżawy i uprawy roli, zamykano im szkoły, utrudniając oświatę — i zmuszano do przyjmowania obywatelstwa chińskiego. Rzeź Japończyków, zapoczątkowana morderstwem kpt. Nakamury, uniemożliwiła Japonji dalszą tolerancję podobnych stosunków. Rząd mukdeński nie potrafił utrzymać się na wysokości zadania. Pakt 9 mocarstw nakazywał poszanowanie obcych terenów i wewnętrznego ustroju każdego z państw — zlekceważenie go przez rząd mukdeński, jak i zlekceważenie japońskich not protestacyjnych, wywołało oczywiście konsekwencje w formie skorzystania Japonji z jej prawnie stacjonowanej załogi w Mandżurji, rozpoczęte zaś pertraktacje sami Chińczycy uniemożliwili swymi napadami.

Ze strony chińskiej widać wiarę w powolne zrastanie się Chin i w ich przyszłość, w stosunku jednak do Japonji widać tam tylko uczucia negatywne, wprost do białości rozżarzoną nienawiść. W walce z Japonją uważają Chińczycy Rosję Sowiecką za naturalnego sojusznika — to zaś stanowisko wymaga odpowiedniego ustosunkowania się doń tak objektywnego obserwatora, jak i poszczególnych państw, a wśród nich — Polski. Nietylko o tem chińskiem stawianiu na Rosję należy pamiętać; nie można także tracić z oczu negatywnego charakteru programu chińskiego. Pozatem, objektywizm historyczny każe przyznać, że za czasów władania chińskiego w Mandżurji nieporządki tameczne wywoływały konieczność specjalnej opieki nad cudzoziemcami. Powstała tam wszak praktyka wielu państw, polegająca na stosowaniu tej specjalnej opieki zapomocą własnych

zarządzeń wojskowych dla ochrony życia i mienia ich obywateli. Jeśli więc i Japończycy używali także podobnych metod, to stosowali oni tylko powszechny system międzynarodowy tak w Mandżurji, jak i na ziemiach chińskich, zainteresowanych w późniejszej kampanji, a to na podstawie praktyki, będącej reakcją na chaos chiński.

Traktując całokształt zagadnienia zupełnie sine ira et studio, nie można nie przyznać, że przepisy mandżurskie zakazywały często imigracji Chińczyków (Mandżurja częstokroć rządziła się autonomicznie). Nie sposób również zapomnieć o tem, że Chiny tak niesolidnie traktowały zobowiązania swe względem Japonji, że sprowokowały przez to słynne ultimatum „21 pytań".

Nie będzie przesadą twierdzenie, że monarchiczna Japonja swymi kapitałami, zmysłem porządku i postępu, działalnością pokojową i cywilizacyjną stworzyła poprostu nową, kulturalniejszą Mandżurję. Natomiast bandytyzm, szalejący wśród istnych orgji w Mandżurji, wciąż domagający się likwidacji, jak i specyficzny system fiskalny antyjapoński, popierany ponadto przez bojkot towarów japońskich, kampanja chińska przeciw zobowiązaniom traktatowym (wbrew odwiecznej zasadzie pacta sunt servanda!) i wynikła stąd na terenie mandżurskim anarchja — domagały się stanowczo ukrócenia. Pamiętać trzeba, że polityka japońska w Mandżurji była zrazu identyczną z polityką innych państw, posiadających tam interesy szczególne — i że ze strony Japonji widoczną była chęć najszczerszej współpracy. Nie zadowalając się jednak przyrzeczeniami słownemi, żąda ona lojalnego respektowania traktatu i stąd przedewszystkiem zaczynają się wszystkie jej kroki.

Objektywni autorowie, jak np. Anglik Henry W. Kinney („Manchuria today", Dairen, 1930) lub dr. Legendre („La crise mondiale. L'Asie contre l'Europe", Paryż, Plon 10 wyd.), jasno wykazują, jak twórczą jest na Wschodzie rola Japonji i jak bardzo wprost należy ją popierać w tej mierze.

Wybitną jest też rola Japonji w czasach dzisiejszego kryzysu wszechświatowego w kierunku polityczno-społecznym. Nie idzie bynajmniej o jakieś „żółte niebezpieczeństwo“, ale o stworzenie — poza specjalnymi interesami japońskimi, wynikłymi z umów i sytuacji — czynnika stałego ładu na Dalekim Wschodzie.

(Czem to jest dla naszych interesów, to też odrazu widoczne. Chodzi bowiem nietylko o Polaków na Dalekim Wschodzie, ale i o całą konfigurację polityczną i zaabsorbowanie wschodniej sąsiadki naszej).

Literatura, dotycząca zagadnienia mandżurskiego, tak stale narasta, że byłoby bezcelowem chcieć ją tu wyczerpać. Nie można jednak pominąć milczeniem takich publikacyj, jak J. C. Baleta „Le drame de l'extrême-Orient (La Mandchourie)“ z przedmową posła François de Tessan, wice-prezesa Komisji spraw zagranicznych (Paryż, Payot), P. Ohary „Manchoukuo“ (Mukden, 1932), „mandżurskiego numeru“ genewskiej „Revue des Nations“ (Nr. 10—11, październik—listopad 1932), a przedewszystkiem znakomitego dzieła E. de Vèvre'a p. t. „La reconnaissance de iure de la régence de Mandchourie et le traité des neuf puissances“ (Paryż, Rousseau, 1932). O ile rząd nankiński twierdzi, że uznanie Mandżurji de iure przez Japonję gwałci Pakt Ligi Narodów, to rozumie się, że stosuje tę tezę do art. 10 powyższego paktu, a więc do zobowiązania się członków Ligi Narodów do „szanowania i zachowania — przeciw wszelkiej agresji z e w n ę t r z n e j — całości terytorjalnej i niezawisłości politycznej wszystkich członków Ligi“. Wszakże tu nie może być mowy o a g r e s j i z e w n ę t r z n e j — gdy przeciw rządowi mukdeńskiemu opowiedziała się Mandżurja, konstytuująca się jako nowe państwo. Rzeczą zaś interpretacji jest zbadanie, czy następne kroki Japonji są odchyleniem od traktatu 9 mocarstw.

Traktat ten bynajmniej nie zawiera dyspozycji, upoważniającej do interwencji Stałego Trybunału Sprawiedliwości Międzynarodowej. Stypulacji tego traktatu nie na-

rusza bynajmniej uznanie Mandżurji de iure przez Japonię. Traktat waszyngtoński przewidywał konsolidację Chin, a w nich „un gouvernement stable et efficace“ — a czyż stan faktyczny nie jest czemś najbardziej odległem od powyższych pojęć? Traktat 9 mocarstw nie zawiera klauzuli, wzbraniającej uznania państw, wyłonionych z samorzutnego rozczłonkowania się Chin. Fakt tego rozczłonkowania nie obciąża Japonji. Nie ona to stworzyła walki generałów wewnątrz Chin i niekończące się podziały, wśród których to dziejów niezapomnianą jest w Mandżurji rola Czang-tso-lina. Nie Japonja jest winną anarchji chińskiej. Czy problem ten weźmiemy politycznie, czy prawniczo, na jedno to niemal wyjdzie — i bynajmniej nie na korzyść Chin. Anarchja chińska jest faktem — i faktem jest niezaprzeczonym, że nie Japonja spowodowała tę — poniekąd bezprzykładną — anarchję. Jeśliby zaś nawet stanąć na stanowisku takiej wykładni prawniczej, którąby kazała ująć uznanie Mandżurji de iure przez Japonję z punktu widzenia nienaruszalności umowy 9 mocarstw, jako umowy tej naruszenie, przyczem wykładnia ta bynajmniej nie byłaby jedyną możliwą i stanowczo najlogiczniejszą — to jeszcze i wtedy, żywo w pamięci mając całą powyżej naszkicowaną kolejność wydarzeń mandżurskich — musiałoby się stwierdzić, że w tem obustronnem, t. j. i chińskiem i japońskiem naruszeniu umowy, będącej podstawą prawną stosunku Chin do Japonji — Chińczycy pierwsi byli stroną, nie respektującą tych zobowiązań umownych.

Wywód prawny wymagałby wiele miejsca. Dokonał go już — i to znakomicie — E. de Vèvre w swem powyżej zacytowanem dziele.

Dr. Georges Bonneau, prof. uniw. i dyr. Instytutu, w najświeższej pracy „Japon et Mandchourie“ (Paris, 1932) stwierdza, że Japonja była uprawnioną do interwencji wskutek zagrożenia swych praw i interesów w Mandżurji. Cytuje też przykłady z dziejów Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej w stosunku do Nicaraguy z r. 1912

i 1926; stwierdza też haniebne nieporządki i bandytyzm w Mandżurji od kwietnia 1927 r. do maja 1931 r. Kolej południowo-mandżurska była zagrożoną, życie mieszkańców miast i wsi podobnież, chłopi koreańscy (koloniści) również — na stacjonujące prawnie oddziały japońskie napadano. Bojkot towarów japońskich i szowinizm święciły tryumfy.

P. George Bronson Rea, radca M. S. Z. Mandżu-Go, w przemówieniu swem w Genewie z dn. 14 października 1932 r. zaakcentował, że porozumienie nowego państwa mandżurskiego z Japonją jest takiejże natury, jak porozumienie kantońsko-moskiewskie. Narodowi i państwu mandżurskiemu nie można odmawiać prawa samostanowienia o sobie.

Wysoce rzeczowa praca posła Yusuke Tsurumi o konflikcie chińsko-japońskim obala jeden po drugim namiętne argumenty chińskie (Le conflit sino-japonais, Paryż, 1932). Przytłaczają swoim świetnie uporządkowanym materjałem wydawnictwa „The Herold of Asia. Library of contemporary history“ („The Herald Press“), do których poniżej powrócimy. Por. też J. Fischera „Die chinesisch - japanischen Schwierigkeiten“ (1932).

Wielostronny materjał wspomnianego powyżej „mandżurskiego numeru“ genewskiej „Revue des Nations“ popiera pod wielu względami tezy japońskie w sporze mandżurskim.

Oczywiście, nie brak i Chińczykom argumentów, pozornie nawet nader słusznych. Niewątpliwie też znaleźliby się w Mandżurji zwolennicy upadłego rządu mukdeńskiego. Literatura propagandowa chińska walczy zajadle o prawa Chin do Mandżurji, a często wręcz grozi Japonji i światu — Sowietami.

Zrozumiałą jest gorycz Chin, które w ciężkich warunkach, przy potwornej agitacji bolszewickiej, szerzącej się tam niepomiernie, dążą jednak — pomimo tarć nankińsko-kantońskich — do konsolidacji, a tu wymyka się im

z rąk (inna rzecz, że i tak arcyniedołężnie przez nich rządzona) Mandżurja, przyczem okoliczności, faktowi temu towarzyszące, zdają się zapowiadać, iż na tem nie skończy się ekspansja japońska. Japonja dusi się na wyspach Nipponu i musi mieć teren kolonizacji — przedstawiając zaś czynnik ładu, łatwiej opanować może sytuację mandżurską, niż Chiny, które tam nie zaznały powodzenia, o czem cała przeszłość dziejowa Mandżurji najdobitniej świadczy.

Chiny są politycznie chore i rozbite. Proces konsolidacji dojrzewa tam żółwim krokiem. Agitacja zdradzieckiej sąsiadki większe szkody przynosi, niż wróży pomocy. W nerwowym tym, podnieconym nastroju deklamują Chiny sielankowo o Lidze Narodów, niepomne, że nie stosowały się same do jej Paktu. Postępy bolszewizmu w Chinach są zastraszające — rozdarcie wewnętrzne wprost tragiczne. I — rebus sic stantibus — radzi powierzchowny w badaniach swych i suggestjach raport lorda Lyttona pośrednio poniekąd przywracać w Mandżurji status quo ante?! Nawet próbować nie można tak tych spraw załatwiać. Problem mandżurski jest trudny, jest bardzo trudny, zwłaszcza, z punktu widzenia aplikacji zasad idealnej sprawiedliwości. Boć nie byłoby tą zasadą stare „pereat mundus, fiat iustitia!".

Musi się tu wziąć w rachubę wszystkie te, tak tu złożone okoliczności faktyczne i trudności praktycznej natury.

Ogromnie orjentują bijące w oczy kontrasty: Japonja jest czynnikiem stałości, Chiny — chaosu.

W epoce kryzysu tej miary, co obecny, fakt ten urasta do olbrzymiego znaczenia. Stałe biuro porozumienia międzynarodowego przeciw trzeciej międzynarodówce opublikowało w tej dziedzinie ciekawe dziełko „Bolshevism in China" (Genewa, 1932), wykazujące, w jakim stopniu opiera się zdesperowany i rozegzaltowany nacjonalizm chiński na pomocy bolszewickiej. Prócz wspomnianej już pracy d-ra Legendre'a, zasługuje na wzmiankę źródłowo opraco-

wana rzecz d-ra Kreitnera „Hinter China steht Moskau“ i d-ra Schmitza „Der Bolschewismus in China“. Chiny mają niewątpliwie swoją bardzo starą i zaawansowaną kulturę, nie mają jednak należytej wytrawności politycznej, co wykazały dowodnie ich dzieje, a w szczególności historja ostatniej doby. Rewolucja z rządami Sun-Yat-Sena wstrząsnęła podstawami egzystencji dawnej i wprowadziła przemianę wartości. Dzisiejszy „Gomindau“ („Kuomintang“), zorganizowany na wzór rosyjskiej partji komunistycznej, bardzo grawituje ku bolszewizmowi. Wielu intelektualistów chińskich posyła się do szkół specjalnych w Rosji (np. do Uniwersytetu Sun-Yat-Sena, przezwanego potem Uniwersytetem Komunistycznym). Przeprowadził też Kuomintang w obrębie swej władzy wiele reform zupełnie na wzór bolszewicki. Niezależnie od tego, wybujały nacjonalizm chiński miesza do kształcenia dzieci elementy rozszalałej wprost przeciwcudzoziemskiej agitacji, godzącej przedewszystkiem w Japończyków, ale też i w cudzoziemców wogóle. (Por. „Anti-foreign education in China“. The Herald of Asia, Libr. of contemporary history, Nr. 3).

Podręczniki szkolne chińskie dyszą nienawiścią ku Japonji — ale i wogóle w stosunku do cudzoziemców. Metodycznie, jak w podręcznikach bolszewickich, opracowywane są w nich poszczególne zagadnienia z działu zawziętej ksenofobji. Propaganda ta dzieli się na sekcje: przeciwjapońską, przeciwbrytyjską, przeciw obcym mocarstwom, zawiera dział „środków rewolucyjnych“ i t. p. — wśród odpowiedniego materjału ilustracyjnego. Dużą rolę gra dział „bojkotowy“.

Całkowicie zesowietyzowane są następujące okręgi Chin:

57 w prowincji Kwangsi;
39 „ „ Houpeh;
22 „ „ Hounan;
14 „ „ Foukien;
24 „ „ Kwantung;

6 w prowincji Sze-chuan;
3 „ „ Honan;
4 „ „ Anhui.

W okolicach tych okręgów wre również agitacja bolszewicka, choć natrafia też na opór.

Kadry armji czerwonej chińskiej szkolą się w Związku Socjalistycznych Republik Rad — są tam i nie-chińskie elementy, jako to Koreańczycy, Annamici, Mongołowie, Burjaci i t. p. Rząd Centralny Sowietów chińskich słucha oczywiście ślepo komendy z Moskwy. Gdyby dziś w Mandżurji nie było wojsk japońskich, stacjonowanych tam prawnie, a zatrzymanych również w porozumieniu z rządem nowego państwa Mandżu-Go, to byliby tam nie Chińczycy, lecz bolszewicy — co nie ulega najmniejszej wątpliwości.

Chiny są coprawda członkiem Ligi Narodów — ale, czy mają naprawdę odpowiednie kwalifikacje jako państwo?

Wszakże nie mają stałego rządu i administracji, zdolnej utrzymywać aparat państwowy w należytem funkcjonowaniu, nie mogą utrzymać integralności terytorjalnej i niezależności politycznej, ani pokoju publicznego na całem swem terytorjum, ani odpowiedniej organizacji prawa, sądownictwa i t. p.

Cóż dziwnego, że mieszkańcy Mandżurji wolą nowe Mandżu-Go?

Del. M. Matsuoka w dniu 21 listopada ub. r. w swem exposé genewskiem podkreślił, że raport Lyttona w wielu dedukcjach i konkluzjach nie trzyma się ani zasad ścisłości, ani sprawiedliwości objektywnej, opierając się przytem na wielkim optymiźmie co do przyszłości Chin, czego żadną miarą uważać nie można za uzasadnione. Raport nie uwzględnia jednak faktu tego, iż historja ma od r. 1922 dość już duże doświadczenie w przedmiocie rozwoju spraw chińskich. Po dekadzie sytuacja, zamiast się polepszyć, pogorszyła się tylko znacznie. Słusznie natomiast stwier-

dza raport powszechne niebezpieczeństwo komunizmu w Chinach. Jenerałowie komunistyczni działają — jak wykazała powyżej statystyka — w samem sercu Chin. Gdzież jest podobna sytuacja, by akredytowani przy rządzie państwa obcy ministrowie pełnomocni mogli się poruszać tylko w eskorcie wojskowej lub w towarzystwie okrętów wojennych?

Nawet w Bolszewji tak nie jest — ale jest tak w Chinach.

A napady bandytów? A piratów?

I cóż z tego w praktyce, że teorje d-ra Sun-Yat-Sena są wzniosłe i że się uczy ich w szkole — gdy ta sama szkoła w ogniu „edukacji przeciw-obcej" uczy zaciekłej, ślepej, nietylko już szkodliwej, lecz nawet wprost bezsensownej nienawiści — ku wszystkiemu, co obce.

Pewnie — orężnej interwencji można zabronić!

Ale bojkotu — nie?

A jakie szkody wyrządził, wyrządza i wyrządzać może Japonji fanatyczny bojkot jej towarów w Chinach, gdy tymczasem Chińczycy handlują bez przeszkód w Japonji!

Naprawdę — difficile est satiram non scribere.

Delegat Matsuoka wykazał dowodnie w Genewie, że ksenofobja chińska rozszalała się w Mandżurji po zamordowaniu „starego marszałka" Dżanzolina (Czang-tso-lina). „Młody marszałek", Czang-sue-liang, pozwolił jen. Czang-kai-szekowi posłać wielu agentów jego do Mandżurji, którzy tam prowadzili otwartą akcję propagandy przeciwjapońskiej. Armja Czang-sue-lianga (ponad 300.000 ludzi licząca) podległa najzupełniej penetracji doktryny bolszewickiej.

Komisja Lyttona nie znajduje, by zajścia z 18 i 19 września 1930 r. (t. j. operacje wojskowe japońskie w nocy) należały do zakresu obrony koniecznej.

Inaczej brzmi teza Kellogga:

Prawo obrony koniecznej — czytamy tam — należy

do pojęcia suwerenności i jest implicite zawarte we wszystkich traktatach.

Chiny nigdy nie miały wpływu na Czang-tso-lina, czy na Czang-sue-lianga — wchodzili oni w sojusze z poszczególnemi frakcjami chińskiemi, lub nie — zupełnie tak tylko, jak im się to podobało.

Sam raport komisji Lyttona przyznał, że powrót do status quo ante właściwie nie byłby pożądany. Wielkimi nieporządkami groziłoby jednak też odstąpienie od organizacji nowego państwa Mandżu-Go. Hasło „Mandżurja dla Mandżurji" wydaje się niewątpliwie najodpowiedniejszem.

Raport Lyttona zbyt arbitralnie orzeka, że idei niepodległości nie było w Mandżurji przed 18 września. Nadewszystko Komisja Lyttona zlekceważyła liczne materjały, świadczące o wręcz przeciwnym stanie rzeczy. Zarzut ten podnosi Matsuoka w swem znakomitem exposé, uzasadniającem tak „self-defence" Japonji, jak i dążność separatystyczną Mandżurji. Japonja nie pogwałciła — dzięki swej umiejętności dyplomatycznej — ani paktu Ligi Narodów, ani Traktatu Dziewięciu Mocarstw, ani paktu paryskiego, gdyż trzymała się — przy stałem użyciu rozsądnej interpretacji — zasad obowiązującego prawa, odstępstw zaś od jego litery dopuściła się tylko w drodze reakcji i obrony, a to uznanej przez prawo „obrony koniecznej".

Raport Lyttona zawiódł i rozgoryczył Japonję — choć reakcja jej oficjalna jest zupełnie umiarkowana, wbrew oczekiwaniom i twierdzeniom wielu odłamów prasy europejskiej. Wydawnictwa tokijskie, jak „Le Rapport Lytton et la Réaction japonaise" i „Lytton Commission on China and Manchuria", przedstawiają szczegółowo reakcję japońską na tezy tego raportu: narodu, partji politycznych, a więc Seiyu Kai (większość w parlamencie cesarskim), Minseito (drugie stronnictwo największe po poprzedniem), Kokumin Domei Kai i t. p., oraz Izby Parów i prasy. Opinja Japonji stanowczo odrzuca suggestje raportu, uważa jednak,

że raport — pomimo swego optymizmu co do przyszłości Chin — stwierdza wyraźnie mocno chaotyczną ich teraźniejszość. Raport istotnie stwierdza niewątpliwie stan powyższy.

Konsekwencje takiego stanu są nader łatwe do przewidzenia.

Zastosowanie suggestji raportu Komisji Lyttona mogłoby doprowadzić do status quo ante, czyli bałaganu mandżurskiego, nachylonego ku zręcznemu wyzyskiwaczowi, bolszewizmowi.

Japonja, ujęciem się za swem prawem i pomocą organizacyjną, udzieloną nowemu państwu Mandżu-Go, wskazała właściwe załatwienie wyłonionego konfliktu. Jest to zapowiedź zwycięstwa czynnika ładu na Wschodzie.

Głosy chińskie z jednej strony domagają się uznania sprawiedliwości teoretycznej — z drugiej grożą bolszewizmem. Opinja polska z sympatją patrzeć winna na energję Japonji.

Jerzy Pogonowski.

PROJEKTOWANE ROBOTY I RZECZYWISTE BEZROBOCIE.

Interesującą publikacją są „Wiadomości drogowe“ — organ Stowarzyszenia członków polskich kongresów drogowych.

W 59-tym numerze „Wiadomości“ (luty 1932 r.) zamieszczony jest fachowy artykuł inż. M. Nestorowicza, dyrektora departamentu drogowego (przedtem w Min. Rob. Publ., obecnie w Min. Komunikacji), w którym autor podaje m. in. ciekawe wykresy wydatków na cele gospodarki drogowej w latach 1924—1931. Okazuje się, że w roku najwyższego budżetu drogowego wydatki na drogi (bez mostów *), zarówno z kredytów państwowych, jak i samorządowych, wynosiły łącznie:

149,851,400 zł.

oraz, że za sumę tę wykonano zaledwie 47 procent należnego programu drogowego. Jakżeż wobec powyższej wyglądają takie cyfry, jak:

w 1924 r. — 37,747,500 zł.
w 1925 r. — 54,841,600 zł.
w 1926 r. — 67,332,100 zł.
w 1927 r. — 97,874,500 zł.
(w 1928 r. (j. w.) — 149,851,400 zł.),

a następnie:

w 1929 r. — 137,242,900 zł.
w 1930 r. — 107,447,200 zł.
w 1931 r. — około 40,000,000 zł. . . . !

*) Wyłączam mosty, których robocizna ma inny charakter i inny stosunek cyfrowy.

W 8 latach wykonano zatem robót drogowych (utrzymanie istniejących i budowa nowych dróg) za 692,337,000 zł. Porównywując podany przez inż. Nestorowicza procent wykonanych robót w odniesieniu do najkorzystniejszego w 1928 roku, wypełniono w tych 8 latach zaledwie (przeciętnie) tylko około 28 procent przypadającego na ten okres programu drogowego.

Może na pierwszy rzut oka zastanowić kogoś, dlaczego za teren rozważań problemu budowy dróg w Polsce obrałem sobie taki właśnie organ, jakim jest „Nasza Przyszłość“?

Właściwością kosztów wszelkich inwestycji jest ich składnik: robocizna, która stosownie do rodzaju inwestycji nosi cechę większego lub mniejszego wyspecjalizowania. Właściwością zaś robót drogowych jest, że 1) robocizna — bez przygotowywania materjałów — wynosi w nich około 20 procent — i że 2) jest to robocizna typowo n i e s p e c j a l n a. Każdy zdrowy a chętny człowiek, jako t. zw. niewykwalifikowana siła, niemal odrazu staje się w pewnych warunkach dobrym robotnikiem drogowym. Nie mówię o tem, że obsługa niektórych maszyn drogowych wymaga pewnego wyszkolenia — mam bowiem na myśli 99 procent tej robocizny, która jako taka wchodzi w rachubę. Muszę natomiast nadmienić, że znaczną część ceny „materjałów“ do budowy dróg, zwłaszcza kamienia (łamanego, tłucznia, żwiru, piasku i t. d.), łącznie z transportem, stanowi znowu robocizna sił niekwalifikowanych, a więc taka praca, którą po krótkiem przygotowaniu może spełniać zarówno mechanik, jak fryzjer, krawiec, piekarz i t. p. Jak bowiem wykazało doświadczenie, fachowcy ci, przykładowo wspomniani, są, jak saperzy w służbie wojskowej, materjałem roboczym niemniej przydatnym i cennym, jak np. robotnicy rolni, czy też pisarczycy biurowi. Krótki pokaz i zorganizowanie pracy w dyscyplinie wojskowej czynią każdego „niefachowca“ znakomitym robotnikiem drogowym, czy innej „specjalności“ saperskiej.

Przyjmując najniekorzystniejszy stosunek, możemy liczyć w kosztach materjałów jeszcze conajmniej 10 procent kosztów ogólnych, przypadających na robociznę, tak, iż razem w kosztach budowy drogi, wyłączywszy najcięższą pracę (np. obróbki kostki kamiennej i t. p.), zawiera się łącznie około 30 procent niekwalifikowanej robocizny, znacznie zatem łatwiejszej i tańszej od robocizny rzemieślniczej: ślusarskiej czy krawieckiej, piekarskiej czy szewckiej, lakierniczej czy fryzjerskiej i t. d. i t. d., a nawet od robocizny brukarzy czy zamiataczy, zatrudnionych po miastach.

Gdy więc uprzytomnimy sobie tę właściwość, pozwólmy sobie na pewną dygresję.

Dla uwypuklenia pewnych wniosków przyjmuje się niejednokrotnie za punkt wyjścia w rozumowaniu t. zw. „absurdalne założenie". Rzecz powszechnie znana. Otóż pozwolę sobie na takie absurdalne założenie, że wspomniane wyżej 692,337,000 złotych byłoby do dyspozycji wyłącznie na pokrycie ceny materjałów w wysokości 70 procent kosztów budowy i utrzymania dróg, że zaś na pokrycie pozostałych 30 procent (robocizna) spadło z nieba *) przeszło 296 miljonów złotych. Dałoby to razem z faktycznie wydaną na drogi kwotą sumę około 989,052,900 zł. Za taką sumę możnaby było wykonać nie 28%, lecz około 40% programu drogowego, przypadającego na ubiegłe ośmiolecie. O ileżby lepiej wyglądały w Polsce drogi, które służą dzisiaj cudzoziemcom do... porównań, bardzo może trafnych, ale jakżeż dla nas bolesnych! Ileżby zyskało na istnieniu ulepszonych dróg gospodarstwo krajowe! A ileżby zyskała siła obronna państwa, dla której przecież istnienie dobrych dróg jest pierwszorzędnem zagadnieniem!

Ale cóż! Założenie było absurdalne, gdyż w istocie owe 296 miljonów nie spadły z nieba, wzgl. zarządy budowy

*) t. zn. bez powiększania budżetu państwowego czy samorządowych.

dróg nie miały do dyspozycji równoważnika pracy, odpowiadającego owym 296 miljonom: obok rozporządzalnych 692 miljonów w gotówce, nie otrzymały nic więcej, a wielka szkoda!

Oprócz wspomnianych wykresów sprawozdawczych z ubiegłego 8-lecia, podaje inż. Nestorowicz wiele innych ciekawych danych z zakresu programu budowy dróg w Polsce i wyraża m. i. opinję, opartą na obliczeniach, że na należyte wykonanie programu (w całem tego słowa znaczeniu) gospodarki drogowej w Polsce w przeciągu 30 l a t potrzeba, aby wysokość kredytów w budżecie państwowym wynosiła przeciętnie 150 miljonów zł. rocznie, a w budżetach wszystkich samorządów przeciętnie 200 miljonów zł., nie licząc wartości naturalnej powinności drogowej (szarwarku)...“.

Rozpatrzywszy się w obecnych możliwościach budżetowych, już na pierwszy rzut oka widać, że brak pokrycia w budżecie stanowi walną przeszkodę w prowadzeniu zdecydowanej gospodarki drogowej, gospodarki, która stoi w nierozerwalnym związku przyczynowym z rozwojem i stanem także niektórych innych działów gospodarki krajowej.

Oprócz „Wiadomości drogowych“, miałem w rękach inną ciekawą publikację, a mianowicie wydaną przez b. Ministerstwo Robót Publ. w 1931 r. — broszurę p. t. „Najpilniejsze roboty publiczne w Polsce“. Publikacja ta zainteresuje każdego obywatela Polski, któremu drogi jest kraju tego rozwój i europeizacja. Szczególnie interesują każdego dzikie nasze rzeki, które co roku niemal wyrządzają liczne szkody, oraz na pół bezludne okolice bagnistego Polesia. Oczywiście, oprócz dróg, o których wyżej była już mowa.

W broszurze tej podany jest na nadchodzące 10-lecie najwidoczniej t. zw. program m i n i m a l n y. Wystarczy porównać choćby cyfry, podane przez inż. Nestorowicza w „Wiad. drog.“, z cyframi w tej broszurze. W „Najpilniejszych robotach“ określono zapotrzebowanie kapitału na

drogi i mosty — łącznie tylko na 335,000,000 zł., zaś na wszelkie roboty wodne tylko na 500,000,000 zł., jako sumy brakujące, t. zn. ponadbudżetowe *). Dodać należy, że wspomniane roboty wodne, wedle programu, tamże podanego, mają głównie charakter meljoracyjny, a przy takim charakterze znaczną część kosztów (przy niektórych robotach 75% do 80%) stanowi robocizna, a więc wartość, której podaż istnieje w Polsce w znacznym nadmiarze.

Sumy, powyżej przykładowo rzucone, są olbrzymie, a jednak byłoby bardzo przykre, gdyby Polska nie mogła się zdobyć na wykonanie odnośnych robót. Z robót tych program osuszenia Polesia, terenu niezbędnego dla powstrzymania choć części bolesnej emigracji, nie jest najmniej aktualnym. Czy istotnie nie znalazłyby się przecież sposoby na możliwie najszersze zrealizowanie tego programu w ramach naszego, z konieczności coraz szczuplejszego, corocznego normalnego budżetu państwowego?

Do interesujących również publikacji należą sprawozdania doroczne z działalności funduszu bezrobocia.

Wedle brzmienia tych sprawozdań z lat od 1924 do 1931, t. zn. z 8 lat, poprzedzających ubiegły rok kalendarzowy, wypłacono z funduszu bezrobocia następujące sumy bezrobotnym pracownikom fizycznym *):

1924 —	świadczenia na rzecz bezrobotnych	6,392,909.02
	przejazdy bezrobotnych	711.92
1925 —	świadczenia ustawowe	23,174,327.92
	doraźna akcja	18,129,824.47
1926 —	świadczenia ustawowe	18,864,368.75
	doraźna akcja	43,076,883.07
1927 —	świadczenia ustawowe	16,055,170.97
	doraźna akcja	26,599,510.91
	do przeniesienia	152,293,707.03

*) Ponad przypuszczalnie będące do dyspozycji sumy budżetowe.

*) Nie liczę tu sum, wypłaconych pracownikom umysłowym, do których należą także półpiśmienni podmajstrzy, magazynierzy i t. p.

	z przeniesienia	152,293,707.03
1928 —	świadczenia ustawowe	20,680,480.05
	doraźna akcja	13,199,783.67
1929 —	świadczenia ustawowe	49,794,663.20
	doraźna akcja	2,422,003.32
1930 —	świadczenia ustawowe	104,453,369.40
1931 —	świadczenia ustawowe	101,272,001.71
	Razem	444,116,008.38

Zgromadzenie tej sumy od jednych i rozprowadzenie pomiędzy drugich kosztowało (różne koszty administracyjne):

w 1924 r.	498,408.50
w 1925 r.	3,150,394.—
w 1926 r.	4,424,960.61
w 1927 r. (także P. U. P. P. i prowizja od inkasa)	5,254,871.01
w 1928 r.	5,422,795.96
w 1929 r.	5,768,749.89
w 1930 r.	9,054,982.07
w 1931 r.	8,528,567.93
razem	42,103,729.97

łącznie zaś suma wypłaconych świadczeń i martwa pozycja „kosztów administracyjnych“ wyniosła w ośmioleciu 1924 — 1931 = 486.219.738 zł. 33 gr. — niespełna pół miljarda złotych (bez 1932 r.!).

Wypada dodać jeszcze, iż wykazy z 1926 — 1931 (6 lat) pouczają nas, że warsztaty pracy wpłaciły funduszowi bezrobocia tytułem kar (za zbrodnię: zwłoki i niedokładności w wypełnianiu rozlicznych formularzy!) sumę 12,932,250 zł.!

A teraz porównajmy parę tylko cyfr:

Wpłacono świadczeń ustawowych:

444 miljonów złotych,

a nie było dla podniesienia wartości robót drogowych z 28% na 40% w tym samym czasie: 296 miljonów złotych.

Koszta administracyjne funduszu bezrobocia wyniosły 42 miljony złotych, zaś koszt wałów powodziowych (a więc najniezbędniejszych budowli ochronnych) na Wiśle, od jej źródeł niemal aż po Świecie, obliczono na 35 miljonów złotych *). Albo: wspomniana cyfra wpłaconych kar niemal 13 miljonów złotych, a obliczone koszta obwałowań nizinnych rzek spławnych 8,850 tysięcy złotych *).

Fundusz bezrobocia powstał na zasadzie ustawy z dnia 24 lipca 1924, która weszła w życie 31 sierpnia tegoż roku. W myśl tej ustawy, która została znowelizowaną 28 stycznia 1925 r., bezrobotni, którzy przepracowali określony termin czasu, a zostali z tej pracy zwolnieni, mają prawo przez 26 tygodni od terminu utraty pracy otrzymywać z funduszu bezrobocia zasiłek w wysokości — zależnie od stanu rodzinnego — od 30 do 50 procent zarobków, ostatnio pobieranych. Nawet częściowo bezrobotni mają prawo do zasiłków, coprawda mniejszych, bo tylko w wysokości 30 do 50% normalnych zasiłków. Mają prawo pobierać taki zasiłek, lecz nie mają obowiązku wypełnienia jakichkolwiek świadczeń wzajemnych. Otrzymują zatem ekwiwalent 30 do 50 procent pracy wykonanej, sami jednak nie równoważą otrzymywanych wypłat żadnym ekwiwalentem. Gdyby chodziło o ludzi, którzy przekroczyli pewien wiek, względnie o ludzi o zmniejszonej zdolności do dalszej pracy, wszelkie uwagi urywałyby się w tem miejscu bezpowrotnie. Lecz chodzi tu o ludzi w znacznej części młodych, zdolnych do pracy swego zawodu, ponadto zdolnych do każdej t. zw. niefachowej pracy; a pracą niefachową nazywam każdą pracę praktyczną w rodzaju tych, jakie np. otrzymują do wykonania obywatele podczas pełnienia dla kraju obowiązków zaszczytnej służby wojskowej. Mam wrażenie, że skoro nie może być mowy o splamieniu polskiego munduru

---

*) Cyfry zaczerpnięte z „Najpilniejszych robót publicznych w Polsce". Są to głównie, jak wspomniano, koszta robocizny.

wojskowego pracą z kilofem czy łopatą w ręku, gdy chodzi o jakąś pożyteczną z wojskowego punktu widzenia budowę drogową czy wodną, to może nie splamiłoby niczyjej czci, gdyby w okresie swej sprawności fizycznej (do pewnego wieku i przy dostatecznym stanie zdrowia) wykonał tytułem odpłaty jakąkolwiek pracę na rzecz robót publicznych (przy budowie dróg, obwałowaniu niszczycielskich rzek, czy osuszaniu bagien na żyzne ugory) w wymiarze; odpowiadającym pobieranemu zasiłkowi z funduszu bezrobocia. Naturalnie, tylko ściśle wedle pobieranego zasiłku! Gdyby obywateli, którzy mają nieszczęście być bezrobotnymi, zmuszano do pełnej pracy przez cały okres, w którym pobierają tytułem zasiłku 30% do 50% normalnych zarobków, to z punktu widzenia chrześcijańskiej etyki, której należy przestrzegać w każdem działaniu, a więc i w działaniu o charakterze gospodarczym, zmuszanie to byłoby w y z y s k i e m i c h t r u d n e g o p o ł o ż e n i a. Gdyby natomiast dla uzyskania przez 26 tygodniowy okres czasu 30% do 50% normalnych zarobków istniał obowiązek przez pierwszych 8 do 13 tygodni popracować sumiennie i wydajnie dla celów publicznych, to nie możnaby mówić o żadnym wyzysku, lecz o istnieniu pewnej równowagi. W tych pierwszych 8 do 13 tygodniach bezrobocia zawodowego obywatel byłby w 100% zatrudnionym dla celów publicznych, niefachowo (tak, jak „niefachowem“ zajęciem jest dla każdego obywatela obowiązkowa służba wojskowa) i za tę służbę p u b l i c z n ą otrzymywałby zarówno w czasie tych pierwszych czynnych 8 — 13 tygodni, jak i w dalszym okresie 13 do 18 wolnych tygodni, należny mu zasiłek 30% do 50% normalnych zarobków. W takich warunkach obywatel miałby zachowane poczucie równowagi świadczeń wzajemnych, jako obowiązku wobec państwa za pobierane zasiłki, a więc o jeden więcej ważny element poczucia sprawiedliwości.

Stworzony świeżo „Fundusz pomocy bezrobotnym“ ma podobno część rozporządzalnych funduszów użyć na ro-

boty publiczne. Brawo! Nasuwa się jednak pytanie, dlaczego ani część owych 486 miljonów, które zapłaciło społeczeństwo (w cenach towarów) odpoczywającym bezrobotnym w okresie od 1924 do 1931 r., nie została zamieniona na pożyteczne roboty publiczne? Pouczał mnie — nie bez uśmiechu politowania nad moją ignorancją — pewien głęboki społecznik polski, że te dwa fundusze bezrobocia nie dadzą się ze sobą porównać: oto 1) do funduszu bezrobocia wpłacają część t a k ż e ubezpieczeni, więc za to mają prawo nie dawać żadnego ekwiwalentu, zaś 2) na fundusz pomocy bezrobotnym płacą już sami tylko burżuje — więc... wypada częściowo zasiłki odrobić. A więc zgodnie ze sprawiedliwością ci, którzy nie mieli szczęścia i sposobności przepracować ustawowego okresu, mają być w gorszem położeniu, niż tamci pierwsi, którzy „odrobili" swój okres? Niestety, nie mogę zgodzić się z takiem ujmowaniem sprawy i uważam je za zręczne zakłamywanie istoty rzeczy, gdyż w rzeczywistości wszystkie wkładki na fundusze bezrobocia i pomocy bezrobotnym płaci całe społeczeństwo w cenach towarów oraz w podatkach bezpośrednich: ogólnych i specjalnych. Pracownik nie odejmuje sobie od ust — póki pracuje — aby płacić za siebie ubezpieczenia. W „cenniku" robocizny dolicza sobie już wszystko to, co ma płacić za przypadające na niego składki i drobny podatek, producent odpowiednio znowu kalkuluje ceny wytworów, a w rezultacie za wszystko płaci c a ł e społeczeństwo, którego olbrzymia część cierpi z powodu braku dobrych dróg, część z powodu szkód, wyrządzanych przez nieuregulowane rzeki, pewien zaś procent emigruje, by karczować dzikie ostępy na drugiej półkuli ziemi i przepada dla ojczyzny, podczas gdy olbrzymie przestrzenie Polesia „z powodów budżetowych" nie mogą się doczekać odwodnienia, aby się zmienić na swojskie „Peru", na którem możnaby osadzać bez urazy niczyich uczuć mniejszościowych zastępy naszych dzielnych rezerwistów i stwarzać mur obronny z piersi patrjotycznego elementu.

Pracownik został zmuszony do odejmowania sobie od ust dopiero od momentu, gdy wskutek nadmiernych ciężarów załamało się zaufanie posiadaczy oszczędności (zarówno krajowych, jak i zagranicznych) i gdy ci zaczęli wycofywać te swoje oszczędności, ścigane i prześladowane w różnorodny sposób, z obrotu życia gospodarczego. Dopiero od tego momentu „świat pracy", wyodrębniony przez swych przywódców, jako osobnemi prawami obwarowana kasta, zaczął tracić możność zarobkowania.

Wydaje mi się, że niewykonane i — praktycznie biorąc — niewykonalne we właściwym zakresie roboty publiczne, oraz nie zażegnalne w dzisiejszych warunkach bezrobocie, wyciąganie ręki o datki na suchy chleb i powszechna nędza, stoją w dość bliskim ze sobą związku ustrojowym. Obywatel bowiem, ten, który z tytułu swego uprawnienia bierze zasiłki i ten, który dla braku uprawnienia, nie może ich pobierać, załamuje się w poczuciu i rozumieniu zasad sprawiedliwości społecznej, wykładanej mu fałszywie, z pianą nienawiści klasowej na ustach. Psychika obywatela staje się od zarania karjery życiowej dostępną poglądowi, że nawet od najmłodszego wieku, w okresie najpełniejszej sprawności fizycznej i umysłowej, już nietylko „maximum zarobku przy minimum wysiłków", ale wprost darmowe utrzymanie ze strony funduszu publicznego jest właściwą, najwygodniejszą i zupełnie godną wolnego obywatela formą rozwiązywania osobistych zagadnień ekonomicznych. Jest to znamię moralnego upadku, który powoduje, że nigdy nie istniała chyba tak wielka łatwość decyzji na wyciąganie ręki o wsparcie publiczne, jak dzisiaj.

Andrzej Zawadzki.

O PRAWO WŁASNOŚCI.

Wszyscy — zdaje się — zgodni są w tem, że panujący dziś na świecie kryzys jest potrójnej natury: gospodarczej, ustrojowej i moralnej. A ci, którzy nieco głębiej w tę sprawę wnikają, zgodni są również w tem, że istnieje ścisły, organiczny związek między temi trzema obliczami rujnującego świat upadku. Bo upadkiem należy nazwać to, co ludzkość od lat kilkunastu coraz większym ciężarem przygniata, a nie zdawkowem, w tym razie niewłaściwem, z ekonomji zaczerpniętem mianem kryzysu.

Kryzysem bowiem nie jest np. absurdalna antyteza, że w danym momencie miljony ton pszenicy trzymane są nieproduktywnie w elewatorach, a równocześnie tysiące ludzi w tym samym kraju z głodu umiera; że w innem państwie gromadzą się w podziemiach banku nieprzebrane skarby złota, a równocześnie panuje na rynku ciasnota gotówkowa, nadmierny ucisk fiskalny, olbrzymi deficyt budżetowy i częstokroć nędza; że zwłaszcza, jako uniwersalne lekarstwo na wszelakie klęski i katastrofy materjalne, podawana jest powszechnie w coraz większych dozach doktryna niszczenia jednostki na rzecz wszechwładzy państwa. Nie, to nie kryzys, ale postępowy upadek wszelkiej racjonalnej myśli, woli i logiki, to jakiś generalny absurd sam w sobie, z którego niemasz wyjścia, a tylko brnięcie w coraz większym impasie.

A że tak jest, świadczy o tem zupełna dotąd nieproduktywność zarówno wszelkich aktywnych wysiłków zaradzenia złemu w każdem państwie i na arenie międzynarodowej, jak i cały ten istny ocean wymowy i literatury, fachowej i prasowej, który od szeregu lat z jednego końca świata na drugi się przelewa — w rezultacie bez żadnego

efektu. Wybitne dzieła, wybitne artykuły, wybitne konferencje, wybitni mówcy i pisarze i mężowie stanu, ale z tem wszystkiem — coraz wybitniejsza nędza. Materjalna i moralna nędza, załamanie się nawet rzeczywiście wybitnych umysłów, przekonań i charakterów. Podeptanie wszelkich wyższych zasad, uczuć i dążeń, a na ich miejscu tylko doraźne i bezplanowe rwanie się o codzienny zarobek, który przez to właśnie coraz trudniejszym się staje. Wszystko, co z doraźnym, a coraz więcej beznadziejnym zarobkiem codziennym bezpośredniej nie ma styczności, nie istnieje już dla ogółu, straciło wszelką wartość, nazywa się nierealnem, teorją, którą nie warto się zajmować.

Z tej psychicznej i gospodarczej katastrofy, z tego ogólnego osłabienia wszelkiej tężyzny, wszelkiej zwłaszcza planowości w dążeniach, korzystają oczywiście sprytne, zdecydowane, dobrze zorganizowane i umiejące działać programowo, na dłuższą metę, elementy wywrotu. Od nich też wychodzi potężny prąd destrukcji materjalnej i moralnej, poparty silną ideologją i taktyką, który podminowuje i do reszty osłabia świat cały — dosłownie od bieguna do bieguna.

Wielkim, ale próżnym głosem woła się wszędzie o naprawę tego położenia. Wielomiljonowe rzesze bezrobotnych wyciągają napróżno ręce z prośbą i groźbą. A wybitni ludzie wciąż wybitnem machają piórem lub językiem, ale rosnącego przed nimi problemu ani na krok z miejsca ruszyć nie mogą, mimo wszelkich możliwych i niemożliwych, więcej lub mniej reklamowanych koncepcji. Doszło do tego, że wszyscy, nawet najwykształceńsi i najbardziej „myślący" ludzie we wszystkich państwach twierdzą, iż „niepodobna przewidzieć, co za sześć tygodni nastąpi".

Oto właściwa miara całej głębi upadku!

Zdarzyło się niedawno, na pewnem zebraniu, w ciągu pewnej dyskusji o takim „wysokim poziomie", że sprowokował ktoś poważny obecnych tam przedstawicieli „Naszej Przyszłości" takiem właśnie twierdzeniem: Nikt na świecie

nie wie, co będzie za sześć tygodni, nikt nie jest w stanie wskazać wyjścia z impasu — dlaczego „Nasza Przyszłość" tego nie robi?

Nazbyt to zaszczytne dla nas wezwanie, nazbyt zaszczytna krytyka! Więc „Nasza Przyszłość" ma zrobić to — i to w jakiś sposób konkretny — czego nie jest w stanie dokonać „świat cały"! Wyznajemy w pokorze, że nawet w najśmielszych naszych i najzarozumialszych marzeniach o tak olbrzymiem zadaniu dotąd nam się jeszcze nie śniło! Ale, że nas sprowokowano—z ironją, czy bez ironji— i że żyjemy w czasach możliwych niemożliwości, więc podejmiemy rzuconą rękawisę i — damy odpowiedź.

W każdej zawiłej sprawie dotrzeć trzeba przedewszystkiem do jej sedna, do kamienia węgielnego, na którym skomplikowana budowa się opiera, odrzucając zdecydowanym ruchem narazie wszelkie sprawy i symptomy drugorzędne. A poznawszy w ten sposób istotę rzeczy, należy koniecznie stworzyć sobie jakąś stałą, niewzruszoną platformę, jakiś twardy grunt pod nogami, który dopiero jest w stanie wszelki start ku rozwiązaniu problemu umożliwić.

I w tym wypadku — szukania wyjścia z „kryzysu"— niepodobna bujać po fluktach konjunkturalnych opinji, koncepcji i frazesów, ale trzeba szukać takiego twardego gruntu. Bez niego, czyli bez mocnego dogmatu, na który zgodzić się musi każdy, kto naprawdę pragnie poprawy stosunków, nie można nawet marzyć o wyjściu z impasu. Nawet o pierwszem, racjonalnem zapoczątkowaniu tego wyjścia!

Nie chcemy tu w żadne wdawać się teorje, ani „ideologje", które nie stoją dzisiaj w wysokim kursie u ludzi „praktyki" — wśród tych wszystkich dorywczych zjadaczy chleba, którzy wierzą w to tylko i cenią to tylko, co bezpośrednio przed nimi na stole leży. Przeciwnie — chcemy wejść odrazu w najpraktyczniejszą praktykę, aby wszystkim pp. aktualistom jaknajbardziej dogodzić.

Otóż głębsza analiza — praktyczna analiza—

tego wszystkiego, co się od lat piętnastu na świecie dzieje, wykazuje już chyba aż nadto wyraźnie i dotkliwie, że przedewszystkiem zaatakowane zostało i mocno nadkruszone pewne podstawowe prawo natury — prawo Boskie dla wierzących, a odwieczne prawo ludzkie dla niewierzących. Prawo, na którem do niedawna cały ład i porządek i dobrobyt i rozwój cywilizacyjny i kodeks moralny się opierał. A prawem tem jest pojęcie własności prywatnej.

Potężne zaiste to prawo, nietylko samo w sobie, ale i w dalszych swych konsekwencjach. Bo organicznie jest z niem związany i ustrój rodzinny i pojęcie indywidualizmu, implikującego wiarę w nieśmiertelność duszy (oczywiście nie mówiąc o bezpośredniem Objawieniu) i popęd twórczy we wszelkich kierunkach i radość życia wogóle. Jeżeli zniknie to podstawowe prawo, to zwali się odrazu cały dotychczasowy ład i porządek na świecie, wywrócą się wszelkie pojęcia, a nawet uczucia, a zmechanizowana, zbydlęcona jednostka nie będzie miała przed sobą nic, oprócz kwestji głodu i żeru.

W tym kierunku poszła, częścią świadomie, częścią nieświadomie, a raczej nie całkiem świadomie, „zwycięska w wojnie światowej demokracja" — że użyjemy tu terminologji, uświęconej w enuncjacjach pokojowych i w powojennej publicystyce. Poszła w tym kierunku w różnych państwach z różnem przyśpieszeniem: w Rosji najprędzej, integralnie, gdzieindziej nie odrazu tak radykalnie, kokietując jeszcze z dawnym porządkiem i wchodząc z nim w najrozmaitsze kompromisy.

Ludziom, stojącym na poziomie intelektu czytelników naszego pisma, nie potrzeba chyba tłómaczyć skutków tego ogólno-światowego zwrotu. Widzimy je i odczuwamy wszyscy aż nadto dotkliwie. Skoro tylko naruszono kamień węgielny, to w nieuchronnem następstwie cały gmach cywilizacyjny i gospodarczy walić się zaczyna. Naprożno różni mędrcy tego świata usiłują tworzyć mu podpórki — na nic się one nie zdadzą i kruszą się wraz z gmachem, którego

fundamenta zostały podważone. Odbiło się to najpierw na sprawach materjalnych, ale z natury rzeczy ogarnęło wnet potem i dziedzinę ducha, osłabiając odporność, zdrowy rozsądek i wolę. J e ż e l i d z i s i a j l u d z i e n i e w i d z ą w y j ś c i a z i m p a s u, t o d l a t e g o, ż e n i e w i e d z ą, c z e g o c h c i e ć m a j ą, j a k i e g o ż ą d a ć u s t r o j u, n a s t a w i e n i a i p o r z ą d k u — p o o b a l e n i u p r a w a w ł a s n o ś c i!

I w tem leży sedno „kryzysu". Wyimaginowano sobie na podstawie płytkich doktryn społecznego radykalizmu, że „ewolucja wymaga rewizji prawa własności" że la propriété c'est le vol — i w magicznym kręgu tej doktryny ludzie kręcą się wkółko, filozofują, politykują, szaleją i nędznieją, nie mogąc wybrnąć z niego. Nie mogąc i nie chcąc, bo ewolucję i rewizję prawa własności uważają dziś za „niezbędną" nawet umiarkowańsze sfery społeczeństwa w jakimś tępym, doktrynerskim uporze, nie zastanawiając się nad oczywistym paradoksem, że odebranie komuś czegoś jest faktem ujemnym, a więc kasowanie (szybkie czy powolne) własności prywatnej nie może żadną miarą prowadzić do zwalczenia kryzysu. Wszak jasnem jest i logicznem, że skoro ludziom brak czegoś, to trzeba starać się im dodać, a nie ująć. Stąd też wszelkie koncepcje wybrnięcia z impasu światowego drogą coraz dalszych ofiar jednostek, coraz dalszego ograniczania prawa własności, są oczywistym absurdem, zupełnie takim, jak skazywanie głodnego na djetę!

Stańmy więc na jakimś twardym gruncie, jak się rzekło powyżej.

Dla ludzi, na serjo wierzących, istnieje jasne, wyraźne, bezkompromisowe Przykazanie Boskie: Nie kradnij! A jest to jedyne wśród Dekalogu, które potwierdzone zostało powtórnie, w dziesiątem Przykazaniu: Nie pożądaj ani domu bliźniego twego, ani sługi, ani służebnicy, ani wołu, ani osła, ani żadnej rzeczy, która jego jest! A więc prymitywna forma tego przykazania, zastosowana do ówczesnych sto-

sunków starożytnego ludu, wylicza nawet detalicznie, że dobytku cudzego zabierać nie wolno. A przecież Dekalog, to podstawa moralna i ustrojowa nietylko żydowskiego, ale i chrześcijańskiego ładu i porządku!

I od tego Boskiego Przykazania niemasz odstępstw, ani ewolucji, ani radykalizujących koncepcji i kompromisów z ludzką chciwością. Nie kradnij! A więc nie wolno kraść, czy konfiskować cudzego mienia — bo to na jedno wychodzi — ani jednostce, ani gromadzie jednostek, ani żadnemu zespołowi, zebranemu na zasadzie jakiegoś przez nie same ustalonego regulaminu! Nie wolno konfiskować cudzego mienia i uczciwego zarobku ani bezpośrednio, ani pośrednio — ani aktem ustawodawczym, wynikłym z przypadkowej większości głosujących w sejmie, ani nadmiernymi fiskalnymi, czy socjalnymi ciężarami. Nie wolno też żonglować prawem własności z racji jakiejkolwiek „poprawy stosunków", bo nawet pewna istotna korzyść materjalna, osiągnięta chwilowo tą drogą, jest niemniej dalszem nadkruszeniem owego kamienia węgielnego i zemści się srodze na całokształcie ewolucji stosunków. Zgubnem jest zwłaszcza naruszenie tego prawa z jakiejkolwiek racji w umysłach tłumu, mniej wykształconego i mniej zdolnego do głębszej refleksji, gdyż wbija w te umysły przekonanie, że liczebną przewagą wolno gwałcić wszelkie prawa dla doraźnej korzyści większości.

Niech nam nie prawią uczeni w piśmie, prawnicy, ekonomiści lub „fachowi" politycy, że trzeba przecież uwzględnić postęp pojęć, ducha czasu i t. d. i t. d. Złą przysługę oddają właśnie oni sprawie wybrnięcia z impasu. Bo znacznie mniej szkodliwym jest w tym względzie radykał, lub komunista-agitator, wywieszający na przedmieściach czerwone transparenty, likwidowane szybko przez policję. To niewiele szkodzi cywilizacji i pewnym, fundamentalnym pojęciom prawa własności. Źle jest natomiast, jeżeli ten agitator bolszewicki powołać się może z drwinami, że przecież i umiarkowani, religijni, konserwatywni uczeni i politycy głoszą

właściwie te same zasady i horoskopy, tylko w nieco innej, ozdobną erudycją okraszonej formie.

Bo i tak jest w istocie. Stwierdzamy to z całą stanowczością i objektywizmem! To wszystko, co prawią dzisiaj i do czego dążą w zakresie prawa własności nawet poważne żywioły w społeczeństwie, brzemienne aż nadmierną erudycją i wiele jeszcze mające do stracenia, jest w gruncie rzeczy małoduszną lub lekkomyślną kapitulacją wobec doktryny Marksa, jest jakgdyby wstydliwem, frazeologją okraszonem przyznaniem się do twierdzenia, że „własność, to kradzież“, którą trzeba „ewolucyjnie“ poszkodowanemu ogółowi wynagrodzić. I stąd tchórzliwa kapitulacja wobec tych wszystkich reform, które przyniosła światu „zwycięska w wojnie światowej demokracja“, z komunistami na czele — właściwymi zwycięzcami w wojnie światowej. Stąd te wszystkie niesłychane, zabójcze dla jednostki i państwa ciężary i więzy i ogólny prąd etatyzacji i pauperyzacji. Stąd to powszechne, choćby nawet tylko podświadome przekonanie, że zarobek — to kradzież, to czyn wrogi państwu i społeczeństwu. O, jakże zacierać muszą ręce z radości władcy Kremla, jak drwić muszą z całej naszej demokracji i uczoności! Jakże drwić muszą z naszych wszystkich pobożnych lig antybolszewickich i z naszych przestróg przed groźbą komunizmu, od których zaczyna się dzisiaj z reguły każde patetyczne przemówienie w świecie zachowawczym, uczonym, brzemiennym wszelką mądrością i racją stanu! Muszą drwić i mają powód do tego, bo gdzie skapitulowano mniej czy więcej z twardego pojęcia prawa własności, tam wrota do inwazji bolszewizmu stanęły otworem. I na to żadne najuczeńsze sofizmaty nie pomogą!

A dla ludzi, nie uznających Boskich przykazań, ale tylko t. zw. prawa natury, dogmat prawa własności także w niczem się nie zmienia. Wszak i zwierz broni się i walczy, gdy mu chcą to odebrać, co on uważa za swoje. Wszak od

niepamiętnych czasów na prawie własności wyrósł cały nasz ludzki ład i cywilizacyjny i moralny i prawdziwy postęp, zapładniany stale indywidualnym wysiłkiem, indywidualną, szlachetną ambicją i słuszną nadzieją także odpowiednich indywidualnych korzyści, obok korzyści ogółu. Odebrać ludziom prawo własności, to znaczy zniszczyć wszystko, co wieki dotąd zbudowały i co wprawdzie ciągłego wymaga doskonalenia, ale nie zburzenia fundamentów.

A zresztą doświadczenie dziejowe uczy, że zniesienie lub choćby tylko zbytnie ograniczenie prawa własności nigdzie na serjo się nie udało. Próbowano tego chwilowo — w entuzjaźmie — w drobnym zakresie lub, jak w dzisiejszej Rosji, krwawym gwałtem — ale próbowano nadaremnie. Bo człowiek, to jednak nie mrówka, ani nie pszczoła. Natura jego (dla wierzących: dusza) nie jest w stanie pracować à la longue mechanicznie dla ogółu, z zupełnem przekreśleniem swej indywidualności. Indywidualizm weźmie zawsze górę, czy to w formie stopniowego nawrotu do prawa własności, czy w formie przywłaszczania sobie „uspołecznionego" mienia prędzej czy później przez silniejszych i sprytniejszych. Wszak widziano zagranicą żony bolszewickich dygnitarzy, obsypane brylantami, które uważały za swoją „własność"!

Daremnem więc jest przeciw ościeniowi wierzgać! Daremne są wysiłki mózgów, ustaw i czynów wybrnięcia z impasu gospodarczego — a za nim i z ogólnego ustrojowego i psychicznego chaosu — drogą dalszej wiwisekcji prawa własności jakimkolwiek sposobem i w jakiejkolwiek dziedzinie. Dopiero, gdy przeciwny prąd, stanowczy, zdecydowany, po świecie powieje, gdy coraz więcej poważnych znajdzie się ludzi z odwagą cywilną, którzy zdobędą się na uderzenie pięścią w stół tym wszystkim operatorom i przykrawaczom prawa własności, choćby najwybitniejszym skądinąd i najbardziej uczonym, głosząc niewzruszalność tego prawa — dopiero wówczas zaświta

naprawdę zorza gruntownej naprawy stosunków i ujrzymy nagle wyjście z impasu.

I dlatego w odpowiedzi na apel naszych interpelantów na owem zebraniu, o którem wspomniałem, odpowiadamy:

Pierwszem na serjo zapoczątkowaniem dźwignięcia się z upadku gospodarczego, a wślad za nim i z całej powojennej słabości i psychozy, musi być twarde, bezkompromisowe ustalenie prawa własności prywatnej, jako zasady, której żadna ewolucja, żadna erudycja, żadna potrzeba ogółu, żaden duch czasu i postępu naruszyć nie może. Wyjątki mogą być dozwolone tylko w poszczególnych wypadkach technicznej użyteczności publicznej, a więc np. dla budowy środków komunikacyjnych i to na podstawie każdorazowego aktu prawnego. Żadne generalne ustawy wywłaszczające, z działaniem bezpośredniem lub pośredniem (nadmierne ciężary), nie są dopuszczalne. Niedopuszczalnem też jest powszechne konfiskowanie lub przeszacowywanie in minus wierzytelności i wogóle wszelkie zamierzenia, które mają na celu wstrząśnienie prawem własności lub zatamowanie uczciwego zarobku.

A teraz proszę zasadę tę zastosować konsekwentnie do naszej konstytucji, do naszych ustaw i praktyk fiskalnych i socjalnych, do całego kierunku gospodarki w państwie, do rewizji całego szeregu utartych pojęć prawniczo-ekonomicznych, a owo tak pożądane wybrnięcie z impasu jasno się ukaże. Odrzucić należy tylko zdecydowanym gestem wszelkie „postępowe“ restrykcje i uprzedzenia, wszelkie „naukowe“ sofizmaty i łamigłówki, no i — wszelkie wpływy wschodu! Wyzbyć się trzeba również tej istnej manji prześladowczej, jaka paraliżuje nawet tęgie umysły zachowawcze obawą zarzutu „wstecznictwa“. Trzeba zrozumieć, że prawdziwy postęp, korzystny dla jednostki i dla ogółu, możliwy jest tylko na silnej platformie prawa własności. Poza nią wpadamy odrazu w odmęt, z którego nikt wyjścia nie znajdzie.

Konkretnie mówiąc, możnaby na początek zapropono-

wać, aby zdrowy instynkt zachowawczy w państwie skupił w jednolitą szkołę myślenia i działania tych wszystkich, którzy są jeszcze w stanie zrozumieć, że tylko stanowcza, bezkompromisowa platforma prawa własności wieść może do owych legendarnych lepszych czasów, do których tak wszyscy wzdychają. Nie wierzymy, aby jakiekolwiek doraźne, choćby najgenjalniejsze paljatywy, ulgi i pomoc, na dotychczasowym ustroju i nastawieniu oparte, mogły przynieść jakąkolwiek poprawę. D o p i e r o, g d y z w a r t e p o r o z u m i e n i e w y z n a w c ó w n i e w z r u s z o n e j z a s a d y w ł a s n o ś c i z d o ł a w z b u d z i ć w s p o ł e c z e ń s t w i e o d p o w i e d n i o s i l n y r u c h o p i n j i i o d d z i a ł a ć w k i e r u n k u r e a l i z a c j i p o w a ż n y c h r e f o r m w d o t y c h c z a s o w y m u s t r o j u, w ó w c z a s b ę d z i e m y m o g l i s y g n a l i z o w a ć p i e r w s z y, p r a w d z i w y e t a p n a d r o d z e n a p r a w y.

I wówczas także niebezpieczeństwo komunizmu zmniejszy się tysiąckrotnie przez wewnętrzne uodpornienie społeczeństwa przeciw wpływom, drążącym przedewszystkiem właśnie pojęcie prawa własności. Bo inne punkty komunistycznego programu są dla nas mniej zaraźliwe — ten jeden tylko grozi naprawdę katastrofą. A jeżeli znajdą się u nas uczeni w piśmie, którzy z całym balastem erudycji zechcą nam dziś jeszcze, po tylu ciężkich doświadczeniach, tłómaczyć, że prawo własności jest pojęciem „płynnem“, zależnem od „potrzeb państwa“, postępu, ewolucji i t. p. — jak to dzisiaj niestety często słyszymy — to dla takich erudytów, pracujących nieświadomie, ale faktycznie na rzecz marksowskiej doktryny, nie zawahamy się zastosować rewolucyjnego hasła: Nous n'avons pas besoin de savants!

Tak — nie potrzeba nadmiernej erudycji i nowoczesnej sofistyki społeczno-ekonomicznej, aby zrozumieć proste a fundamentalne przykazanie: Nie kradnij!

Zrozumieć powinni przecież raz nareszcie wszyscy

obywatele, pracujący na polu gospodarczem — a jest ich olbrzymia większość w państwie — że bez bardzo mocnego ustalenia tej zasady, która jest podstawą zarobku, kapitalizacji, stanu posiadania, wszelkiej inicjatywy gospodarczej i twórczego materjalnego postępu, wybrnięcie z impasu gospodarczego i jakakolwiek trwalsza poprawa położenią nie są i nie mogą być możliwe. Jakże może kwitnąć i rodzić owoce drzewo, którego korzenie podcinane są stale, systematycznie, progresywnie, toporem demagogji? Niechże zechcą zdać sobie sprawę trzeźwo ci wszyscy uczeni i praktycy, którzy dążą do naprawy stosunków, że w danych warunkach żądają niemożliwości, skoro cały nasz ustrój, od początku do końca, uniemożliwia a priori jakąkolwiek na serjo naprawę!

Pozwalamy sobie również podnieść tu głos przestrogi pod adresem wszystkich sfer gospodarczych, aby, nawet najbardziej chwilowo przygniecione i zrozpaczone położeniem, nie poszły po linji najmniejszego oporu, chwytając się zbyt skwapliwie różnych pociągnięć ulgowych, które — chwilowo korzystne — przyczyniają się jednak do dalszego kruszenia prawa własności prywatnej. Lepiej, że się wielu ograniczy, wielu spuści znacznie z tonu, lepiej nawet, że niejedno, nieracjonalnie i nieprzewidująco prowadzone przedsiębiorstwo zbankrutuje, niż żeby etatyzm i wślad za nim coraz większe pognębienie prawa własności miały wprowadzić u nas ustrój upaństwowienia, czy uspołecznienia własności, zarobku, inicjatywy i energji prywatnej. Lepiej znieść narazie wszystko najgorsze, niż tolerować, czy nawet mimowoli popierać małodusznie penetrację do naszych mózgów i naszego ustroju zasad sowieckich. A penetracja ta zaczyna się faktycznie wszędzie tam, gdzie następuje jakiekolwiek odstępstwo od prawa własności.

W szczególności zaś należy poddać rewizji — na podstawie zdrowego objektywizmu — cały długi szereg zasad i twierdzeń, które wbijała stopniowo w umysły ludzkie przerafinowana erudycja prawniczo-ekonomiczna, zwłasz-

cza w ciągu ostatnich stu lat i które stały się nietykalnem tabu naszej „wiedzy“ ustrojowo-fiskalnej i gospodarczej. Weźmy pierwszy przykład z brzegu, jeden z pośród tysiąca: podatek spadkowy.

Oficjalna, wielce uczona, na wszechnicach wykładana i w fiskaliźmie uświęcona podstawa racji bytu tego podatku brzmi, jak następuje *): Ponieważ podatnik w ciągu swego życia mógł, mimo najlepszej swej woli, nie dopłacić państwu tej sumy świadczeń, która istotnie odpowiadałaby prawdziwej wartości jego majątku, dlatego słusznem jest(?), że państwo ściąga po jego śmierci od spadkobierców pewną kwotę wyrównawczą.

Czcigodne to twierdzenie, poparte niepomiernym autorytetem powag naukowych, no i skwapliwie stosowaną w tym wypadku przemocą państwa, jest w świetle trzeźwej analizy najoczywistszym i najniesprawiedliwszym absurdem. Bo słusznie karci prawo przestępstwa podatkowe, ale jeżeli podatnik w najlepszej wierze i ze zgodą władz skarbowych płacił przez całe życie skrupulatnie swe świadczenia, to nałożenie nań grubego podatku pośmiertnego dla sofizmatu, że i on i kontrolująca władza skarbowa mogli ewentualnie nie docenić należycie jakiejś teoretycznej wartości jego majątku i stąd zbyt niskie deklarować resp. pobierać podatki, jest przecież wywróceniem do góry nogami wszelkiego zdrowego rozumowania i rozsądku!

A przecież oczywisty ten absurd, bolszewizujący stosunki gospodarcze i dotkliwie tamujący wzrost dobrobytu z pokolenia na pokolenie, trwa ciągle i panuje wszechwładnie, konfiskując konsekwentnie kapitał i dochód prywatny, zwłaszcza w licznych wypadkach dziedzictwa nie w linji prostej. Niechże u nas dwóch spadkobierców z linji bocznej umrze szybko po sobie, a trzeci nic już nie dostanie, bo wszystko skonfiskuje państwo. Nieraz nawet nie potrzeba czekać aż tak długo!

---

*) Prof. I. Conrad, Finanzwissenschaft. Iena 1913.

I takich przykładów ze wszystkich dziedzin gospodarczych możnaby przytoczyć legjony. Na każdym kroku obok pustych haseł podniesienia dobrobytu — równocześnie paradoksalne reguły i praktyki, eliminujące zgóry wszelką możliwość realizacji tych haseł pobożnych.

Jakże śmiesznemi wydają się te wszystkie, z afektacją i naiwną nadzieją dokonywane „poważne“ wysiłki, konferencje, zjazdy, rezolucje i chwilowe „zdobycze“ wszelakich sfer gospodarczych wobec najoczywiściej rujnującego walca demagogicznego i fiskalnego absurdu, który każdy najdrobniejszy owoc pracy ludzkiej, każdą nawet chęć osiągnięcia tego owocu, chwyta zaraz, w zarodku, w żelazne kleszcze fiskalne — państwowe, samorządowe, przymusowo-ubezpieczeniowe i inne — i wysysa z nich wszelkie soki żywotne pod przykrywką patrjotyzmu i „potrzeb‘ ogółu, podcinając w gruncie rzeczy egzystencję jednostce i państwu!

Jest to istny taniec na gruzach, z którego prawdziwą korzyść czerpie tylko komunizm, a w naszym wypadku specjalnie bolszewizm rosyjski. I dlatego, w całem zrozumieniu tej paradoksalnej sytuacji, obstajemy tak bezkompromisowo przy podniesieniu upadającego prawa własności, wzywając do konsekwentnego jego zastosowania w całokształcie naszego ustroju, jako najskuteczniejszej tarczy ochronnej przeciw podminowującym wpływom wschodu i jako jedynej platformy, na której problem kryzysu gospodarczego może być skutecznie rozwiązywany w szczegółach.

Jan Bobrzyński.

NOWE WYCHOWANIE.

Jednem z najważniejszych zagadnień doby obecnej jest sprawa szkolnictwa, która zajmuje nietylko pedagogów, ale polityków, myślicieli i wszystkie głębsze umysły, zdające sobie jasno sprawę, że od wychowania przyszłych pokoleń zależą losy narodów i cała przyszłość ludzkości. Historja wykazuje, że człowiek zmieniał swe właściwości intelektualne i moralne, zależnie od przemian społecznych, ale z drugiej strony te przemiany następowały często wskutek procesów psychologicznych, zachodzących w nowych generacjach, jako rezultat takiego, lub innego kierunku pedagogicznego w dzieciństwie i wczesnej młodości.

Wobec radykalnych zmian — możnaby nawet powiedzieć, gwałtownych wstrząsów i przewrotów — jakie zaszły w warunkach ekonomicznych, a przez to w mentalności i obyczajach społeczeństw, daje się odczuwać potrzeba pewnych inowacii w kształceniu zastępów młodych pracowników, którzy, w oparciu o dawne zasady i tradycje, będą mogli sprostać nowym zadaniom i przystosować się do wymagań nowoczesnego życia. Jak to doskonale zaznaczono z pewnej strony na dorocznem walnem zebraniu Towarzystwa Nauczycieli Szkół Wyższych i Średnich 2 kwietnia 1932 r., czasy obecne wymagają wzmożenia poczucia odpowiedzialności osobistej człowieka nietylko za swoje czyny i losy, ale i za czyny i losy zbiorowości, do której należy. Najtrudniejszem zaś zadaniem wychowawczem szkoły wobec kryzysu światowego jest wyrobienie uzdolnień do obejmowania całej zbiorowości zjawisk gospodarczych i umiejętności pokierowania niemi.

Wychowanie książkowe nie wystarcza. Chodzi jeszcze o to, aby młodzież przygotowywała się do życia przez

poznanie społeczeństwa w jego historycznym rozwoju, studjowała stan i warunki rolnictwa, przemysłu i handlu, formy rządzenia, przemiany, zachodzące we wszystkich dziedzinach myśli i uczyła się wyrabiać swoją własną opinję na wszystkie sprawy aktualne.

Międzynarodowa Liga Nowego Wychowania, mająca swe sekcje w rozmaitych krajach, a której celem jest roztrząsanie zagadnień, związanych z nowymi kierunkami pedagogicznymi całego świata, wydała odezwę, określającą, na czem ma polegać ten nowy kierunek.

1) Wychowanie winno przygotować dziecko do zrozumienia zawikłań nowoczesnego życia społecznego i ekonomicznego.

2) Winno zaspokoić różne potrzeby intelektualne i emocjonalne rozmaitych dzieci, stwarzając im stałe możliwości dla aktywnego wyrażania swej indywidualności.

3) Winno pomóc dziecku we własnowolnem podporządkowaniu się potrzebom społeczeństwa, zastępując dyscyplinę strachu i kary przez rozwój inicjatywy i odpowiedzialności.

4) Winno szerzyć współpracę wśród wszystkich członków społeczeństwa szkolnego. Jest to możliwe jedynie tam, gdzie nauczyciele i uczniowie rozumieją wartość różnorodności charakterów i niezależności myślenia.

5) Winno pomóc dzieciom w ocenie wartości dziedzictwa narodowego i w radosnem witaniu wkładów indywidualnych, które każdy naród wnosi do kultury światowej.

Na VI Kongresie Ligi Nowego Wychowania, zwołanym w Nicei 29 lipca 1932 r., przez 14 dni najwybitniejsi pedagodzy 52 państw, w liczbie 1500, starali się określić cel współczesnego wychowania wobec przemian społecznych, które nastąpiły w świecie, a do których żadne społeczeństwo nie było przygotowane. W jednym z najlepszych referatów, Holender, profesor Van der Leeniv, mówi, że: „nowa era się zaczyna, wychowanie musi tę erę przygotować, aby zamienić obecny stan anarchji, chaosu i rozdźwię-

ku w świat organicznej jedności, solidarności i koordynacji". Francuz, profesor Piaget, dowodzi, że wszystkie zjawiska społeczne nabrały charakteru międzynarodowego, tymczasem nie mamy jeszcze w sobie odpowiedniego instrumentu psychicznego, któryby pozwolił nam to ogarnąć, wznieść się na odpowiednie wyżyny i przezwyciężyć obecne trudności. Musi w nas powstać jakaś niezbędna w tym celu właściwość. Przed wychowawcą stoi tylko jeden dylemat: powrót do barbarzyństwa, lub zupełna duchowa przemiana człowieka. Uważa też, że wysoce szkodliwem w dzisiejszych czasach jest rozwijanie w młodzieży egocentryzmu, nazywając to niesłusznie wyrabianiem indywidualności. Należy raczej popierać tendencje współdziałania, tembardziej, że dzisiejszy solidaryzm nie wyłącza poszanowania indywidualności. Niestety, żaden naród nie osiągnął jeszcze równowagi między czynnikiem kooperacji, a poszanowaniem osobowości, co się nie da zrobić bez głębokich zmian w psychice ludzkiej. Tu jest ogromne pole działania dla pedagoga. Ale tak profesor Piaget, jak profesor Dersaner z Frankfurtu podkreślają, że tylko wychowanie, oparte na religji, jako na niewzruszonej i niezmiennej podstawie moralności, poczucia obowiązku i odpowiedzialności, może przygotować człowieka do skutecznej walki o lepsze jutro.

Pewna grupa wychowawców anglosaskich, z Heleną Pankhurst na czele, domagała się podniesienia w młodzieży twórczych zdolności, aby, jak pionierzy minionych wieków, ludzie mogli dążyć do odkrycia nowych światów, a odkrywali je przedewszystkiem w sobie, mając jednak przed oczami troskę o zapewnienie dobrobytu i bezpieczeństwa ogółowi. Stąd potrzeba zaprowadzenia w wychowaniu tak zwanej kultury społecznej i zbliżenia szkoły, zbyt izolowanej od rzeczywistości, do życia realnego. Wszyscy zgadzali się na jedno, że dawna szkoła, spełniwszy chlubnie swe zadanie w przeszłości, musi być zreorganizowana i przystosowana do potrzeb współczesnej epoki.

Następny Kongres Ligi Nowego Wychowania odbędzie się w 1935 r., możliwe że w Warszawie. Społeczeństwo nasze okazuje małe zainteresowanie pracami Ligi, które, pomimo kierunku, budzącego pewne zastrzeżenia, zasługują na uwagę i dokładne zbadanie.

Wszystkie państwa zaprowadziły już poważne zmiany w szkolnictwie. We Włoszech reforma oparta jest na hierarchji, zamiast dawnej demokratycznej równości. Stawiając zasadę ingerencji państwa i jego wpływu na ducha, w jakim uskutecznia się wychowanie, zostawia jednak szerokie pole inicjatywie jednostki. Otwieranie szkół prywatnych dostępne jest każdemu obywatelowi lat trzydziestu, moralnego prowadzenia, byle tylko profesorowie mieli uprawnienie do nauczania i stosowali się do programu, ogłoszonego przy otwarciu zakładu. Jedynie w zakresie wychowania fizycznego obowiązuje system szkół państwowych. Zwalczając ideę szkoły jednolitej, Gentile, twórca reformy szkolnej, wychodził z założenia, że narzucanie społeczeństwu jednego typu szkoły przeczy istocie wychowania, które opierać się musi na wolności. Sprawa równouprawnienia szkół prywatnych wywołała ostrą walkę polityczną, ponieważ większość ich zostaje w rękach księży i zakonników. Gentile, nie będąc zwolennikiem szkół, prowadzonych przez Ojców Jezuitów, przyznawał jednak, że stały one dużo wyżej od szkół państwowych z przed reformy, ponieważ wywierały duży wpływ na dusze młodzieży i miały swą indywidualność. Uważał też, że nie za pomocą tłumienia inicjatywy prywatnej, ale przez wolne współzawodnictwo osiągnąć można najlepsze rezultaty. Ostatecznie równouprawnienie przeprowadzone zostało w 1923 r. Kontrolę nad szkolnictwem państwowem i prywatnem spełnia rząd, za pomocą instytucji egzaminów państwowych, które uczeń składa przy przechodzeniu z jednego typu szkoły średniej do drugiego, a więc przy wstępowaniu do 1-szej klasy gimnazjalnej, potem do wyższego gimnazjum, to jest do klasy 4-tej i w końcu do liceum, czyli

do klasy 7-mej. Państwową jest również matura. Przejście z klasy do klasy odbywa się na podstawie promocji i jest sprawą wewnętrzną każdej szkoły. Gentile ogranicza do minimum strony ujemne, nieodłączne od egzaminów wogóle. Kładzie więc nacisk na to, że każdy egzamin ma być próbą inteligencji, a nie pamięci, że uczeń powinien wykazać nietyle swą erudycję, ile zamiłowanie, uczucia, uświadomienie zjawisk życiowych i żywotność swej wiedzy.

Zarzucano na razie, że egzamina państwowe mogą być nadużywane dla wywierania pewnego nacisku na dusze młodzieży i dawać pole do konfliktów politycznych, ale obecnie coraz więcej profesorów i kierowników szkół wyraża się o nich z uznaniem. Gentile zwalcza indywidualizm i liberalizm, twierdząc, że jednostka, traktowana w oderwaniu od społeczeństwa, jest wytworem imaginacji, bo nikt nie może przestać być członkiem cywilizacji danego kraju, a wyrazem wspólnej zbiorowości i wspólnej woli jest państwo. Jako minister oświaty, wprowadził do szkół uświadomienie dzieci i młodzieży o bieżących sprawach i interesach Włoch, aby wpoić w nich poczucie obowiązku wobec ojczyzny i kult dla idei narodowości.

We Francji, kilku wybitnych profesorów na ostatnim Kongresie Ligi Nowego Wychowania wystąpiło energicznie przeciwko uczeniu języków starożytnych i kulturze klasycznej, uważając, że zwiększa się w ten sposób kontrast między wzorami klasycznymi i formami myślenia, narzuconemi przez nie młodzieży, a upodobaniami i bezpośredniem doświadczeniem doby obecnej. Leon Bourgeois pisze w swem dziele: „Education de la Démocratie“, że żadne społeczeństwo nie może żyć w spokoju i bezpieczeństwie, o ile nie składa się z członków zdyscyplinowanych i połączonych dobrowolnie tymi samymi poglądami na życie, jego cele i obowiązki.

Partje lewicowe dążą gwałtownie do wprowadzenia tak zwanej „Ecole unique“, łączącej nieraz w jednym nawet gmachu trzy typy szkoły: zamiast dawnej powszech-

nej (école primaire), szkołę I stopnia, zamiast dawnego gimnazjum (école secondaire) — szkołę II stopnia dla dzieci od 12-tu do 15-tu lat i zamiast liceum (école supérieure) — szkołę III stopnia dla młodzieży od 15-tu do 18-tu lat. Całe wychowanie ma być bezpłatne, ale skarb państwa musiałby wyasygnować na ten cel od dwunastu do trzynastu miljardów franków, co wobec kryzysu jest zupełnie nieaktualne. Same szkoły powszechne kosztowały w 1931 r. olbrzymią sumę trzech miljardów.

Ciekawy jest program wychowania młodzieży w Niemczech, który wypracował Hittler, z zamiarem wprowadzenia go natychmiast po dojściu do władzy. Całość dzieli się na trzy kategorje:

1) Szkoła podstawowa ma zastąpić dzisiejszą ludową i każde dziecko musi do niej uczęszczać.

2a) Szkoła dokształcająca, która nie wykazuje zmian w porównaniu z dzisiejszą, jedynie usunie z niej nadmierną specjalizację.

2b) Szkoła wyższa, zamiast dzisiejszej szkoły średniej, która tworzy zamkniętą całość i przygotowuje do uniwersytetu. Do zakresu tych szkół należą szkoły zawodowe i techniczne.

3) Uniwersytet, jako zakład dla elity duchowej, z której wyjdą przyszli przodownicy narodu.

„Naczelne miejsce w szkolnictwie zajmuje wychowanie fizyczne" pisze Hittler w drugim tomie swego dzieła, pod tytułem „Mein Kampf", „gdyż dopiero w parze z niem następuje rozwój sił duchowych, wśród których wyrobienie charakteru, silnej woli i poczucia odpowiedzialności gra największą rolę. Wykształcenie naukowe zajmuje w procesie wychowawczym miejsce ostatnie. Nie należy przeciążać umysłów młodzieży wiadomościami, których nie może w życiu zużytkować i które dla tego prędko zapomina. Nauka języka ojczystego powinna być prowadzona metodą żywą, urozmaiconą, a nie filologiczną, bez nadmiaru analizy, obrzydzającej młodzieży dzieła literatury oj-

czystej. Zasadniczej reformie poddany będzie system pisania zadań szkolnych. Główną uwagę przywiązywać będą w szkole do nauki historji ojczystej, aby zaznajamiać młodzież z siłami twórczemi narodu, jego kulturą i zmysłem państwo-twórczym. Młodzież biedna a zdolna otrzymywać będzie naukę za darmo i państwo zapewni jej przejście przez całą hierarchję szkół. Natomiast mniej wartościowa usuwana będzie ze szkoły, bez względu kim są jej rodzice i jaki jest stopień ich zamożności. Nie będzie się stosować ani pochwały, ani nagany. Do 18-go roku życia nie będzie wolno młodzieży używać ani tytoniu, ani alkoholu i to pod groźbą największych kar.

Program ten spotkał się naturalnie z silnym sprzeciwem sfer katolickich, potępiających w nim apoteozę wartości materjalnych. Ponadto zarzucają mu, że większość jego postulatów jest nieziszczalna.

Nawet amerykanie zaczynają przyznawać, że ideał ich wychowania, człowiek radzący sam sobie, zbankrutował, ustępując miejsca ideałowi solidaryzmu społecznego. Domagają się więc wysunięcia w szkole na pierwszy plan nauk społecznych i praktyki społecznego myślenia i postępowania. Wogóle wychowanie w Ameryce jest najpotężniejszą maszyną socjalną. Maszyną, bo społeczeństwo narzeka na rutynę, panującą w szkołach, liceach i uniwersytetach. Jednak podstawą wychowania jest wolność. Szkoły powszechne w Stanach Zjednoczonych, tak w mieście, jak na wsi, rządowe, komunalne, parafjalne i t. d., są właściwie wszystkie zależne od rodziców, a rząd ma nad niemi kontrolę bardzo dyskretną, ograniczającą się do udzielania wskazówek, dostarczania statystyk, informacji i t. d. Woli swej nie narzuca nigdy. Każdy ze Stanów reguluje sprawy szkolne według swego uznania, co wywołuje, sądząc z punktu widzenia europejskiego, komplikacje, a nawet chaos nie do opisania. W każdym razie wszędzie decydującą rolę grają rady szkolne, wybrane przez ludność, lub naznaczone przez burmistrza miasta. Rady te mianują

profesorów, lub przynajmniej określają sposób ich wybierania, administrują dobrami szkolnemi, a czasem nawet decydują o programie. Profesorowie nie są ani dostatecznie zorganizowani, ani tak poważani w społeczeństwie, aby odgrywać poważniejszą rolę społeczną lub polityczną. Ogół jednak odnosi się do nich życzliwie i szkoła powszechna jest lubiona; ma się wrażenie, że spełnia zadawalniająco swe zadanie. W każdym razie mało się o niej mówi.

Szkoła średnia, czyli liceum (high school) wzbudza natomiast duże zainteresowanie. Słyszy się częste pochwały, ale częściej poważne zarzuty. Niektórzy twierdzą, że to najsłabsza strona amerykańskiego systemu wychowania. Rodzice narzekają na przepełnienie w szkołach, oraz na niski poziom umysłowy wykładowców. Znawcy twierdzą, że liceum jest instytucją mało poważną pod względem intelektualnym i dość niepewną z punktu widzenia moralnego. Również jak powszechne, szkoły te są przeważnie komunalne, lub magistrackie; znikoma tylko ilość najbogatszej młodzieży uczęszcza do szkół prywatnych, tak zwanych „Preparatory schools". Szkoły średnie stanowią ciąg dalszy szkoły powszechnej dla dzieci od 10 do 17 lat; utrzymywane są tak samo z podatków i podlegają kontroli rodziców. Wszystkie mają charakter czysto lokalny i są koedukacyjne, co im nie zawsze wychodzi na dobre. Zachęcając dzieci do sportów, do swobody, do rozwijania indywidualności, ułatwiają im życie towarzyskie w klubach wszelkiego rodzaju. Ale to ciągłe obcowanie ze sobą młodzieży płci obojga, jeszcze bardzo niewyrobionej i pochodzącej z różnych sfer, ma dużo złych stron, z których najmniejszem niebezpieczeństwem jest, zdaniem wybitnych pedagogów amerykańskich, ogromna strata czasu i wyraźne obniżenie się poziomu intelektualnego w szkołach. Wśród tej młodzieży, pełnej energji i radości życia, ale bez solidnych podstaw etycznych i religijnych, zdarzają się zbyt często wypadki zepsucia, a nawet zwyrodnienia moralnego. Policja wielkich miast wie coś o tem i specjalnie ma na oku

okolice znaczniejszych High Schools, po skandalach, które raz po raz wybuchały w ostatnim lat dziesiątku. Autorytet rodzicielski w Ameryce podupadł zupełnie, a personel nauczycielski, przeciążony pracą wobec olbrzymiego napływu uczniów, nie jest w stanie opanować sytuacji. Raporty do rodziców lub opiekunów, nawet redagowane starannie, nie robią należytego wrażenia. Często opieszałość i zaślepienie nie pozwalają w domu reagować na stawiane dzieciom zarzuty. Zresztą, jeżeli szkoły, utrzymywane bezpośrednio z podatków obywatelskich, zależą od polityki miejscowej, muszą się liczyć z tylu względami, że w rezultacie nastąpić musi zanik dyscypliny. Nawet sytuacja mogłaby być o wiele gorsza wobec pomieszania ras, gdyby nie wyrobienie dominujących mas pochodzenia anglosaskiego, spokojnych i zrównoważonych. Zresztą dużo jest szkół, prowadzonych wzorowo, szczególnie w mniejszych miastach, gdzie w skromniejszych warunkach, dzięki małej ilości uczniów, wpływ i opieka szkoły zaznaczają się dodatnio. Większość wykładowców stanowią kobiety, nie mogące często opanować niesfornych tłumów dorastających dziewcząt i chłopców, w wieku najbardziej trudnym do prowadzenia. Ale prywatne „preparatory schools" nie są koedukacyjne, nauczycielki wykładają pannom, a mężczyźni chłopcom i tam poziom jest pod każdym względem bardzo wysoki. Urządzeniem podobne są do „Colleges", czyli naszych uniwersytetów, do których przygotowują swych wychowanków, dając im maximum wygody i przyjemności. Do nich należą szkoły St. Paul, Groton, Lawrenceville, gdzie kształci się młodzież najzamożniejszych rodzin amerykańskich. Inne, jak akademja Phillips'a, lub Andover, stoją bardzo wysoko pod względem naukowym, wychowując przyszłą elitę intelektualną narodu. Ale największą dumą i radością Amerykanów są uniwersytety. To prawdziwy raj dla młodzieży. Bernard Fay powiedział bardzo dowcipnie, że w Europie traktuje się młodość, jak chorobę, z której trzeba się jak najprędzej wyleczyć, w Ameryce zaś

pielęgnuje się ją starannie, jak zdrowie, które trzeba wykorzystać, jak można najdłużej.

W Polsce, wprowadzona obecnie przez Ministerstwo ustawa o ustroju szkolnym, oparta częściowo na dwóch uprzednich projektach, z których pierwszy, opracowany przez ministra profesora Grabskiego, a drugi przez Komisję ministerjalną i aprobowana przez ministra prof. Dobruckiego, dąży do zmniejszenia ilości materjału naukowego i zbliżenia go do życia. Jak to podkreślił minister Jędrzejewicz, pierwszą cechą nowego ustroju będzie tak zwana jednolitość szkolnictwa, t. j. zasada, aby nie zamykać młodzieży możliwości dalszego kształcenia się. Drugą cechą zasadniczą stanowi olbrzymia platforma rekrutacyjna; każde dziecko, które wstąpi do szkoły powszechnej, może dojść do uniwersytetu. Trzecią będzie przystosowanie szkoły do życia, dzisiejsza bowiem szkoła jest przeładowana teorją i nie liczy się z aktualnemi zagadnieniami gospodarczemi kraju. Wreszcie czwartą cechę nowego ustroju stanowi częstsza możność wyboru kierunku nauczania, a więc o wiele gruntowniejsza selekcja.

Podstawą organizacyjną i programową nowego ustroju stanowi siedmioletnia szkoła powszechna, najwyżej zorganizowana (III stopnia). Programy będą tak ułożone, aby umożliwić młodzieży, odpowiednio uzdolnionej, przejście z jednego typu szkoły do drugiego, oraz ze szkół niższych stopni do wyższych. Dzieci po ukończeniu szkoły powszechnej II stopnia będą mogły przejść do gimnazjum, mniej zdolne zadowolnią się szkołą powszechną III stopnia i będą podlegały do 18-go roku życia włącznie obowiązkowemu dokształcaniu, bądź w szkołach dokształcających zawodowych, bądź na kursach dokształcających ogólnych.

Szkoła średnia, ogólnokształcąca, jest sześcioletnia i składa się z czterech klas gimnazjum i dwuletniego liceum. Mogą być tworzone szkoły, obejmujące gimnazjum i liceum razem, albo tylko jedno lub drugie. Program gimnazjum opiera się na drugim szczeblu szkoły powszechnej, obejmu-

je naukę-łaciny i uwzględnia, obok wykształcenia ogólnego, praktyczne potrzeby życia. Liceum różniczkuje się pod względem programowym na grupy przedmiotów. Program jego opiera się na programie gimnazjum i daje teoretyczne naukowe przygotowanie do studjów wyższych.

Szczebel pierwszy sześcioklasowej szkoły średniej ogólnokształcącej powinien stanowić pewną całość z programem, odpowiadającym zarówno duchowemu rozwojowi młodzieży, jako też jej potrzebom. Winien zapewnić wychowankom, przechodzącym bądź do liceum, bądź do szkół zawodowych, bądź wstępujących w życie, potrzebne przygotowanie ogólne. Dotychchczasowe dane statystyczne wskazują, że z młodzieży, wstępującej do klasy 1-szej, około 40% nie wchodzi wcale do klasy 7-mej.

Zmiany te wywołały gorącą polemikę, tak na terenie sejmu, jak w prasie i dyskusjach pedagogicznych. Naturalnie, szkolnictwo nie może zakrzepnąć na zawsze w jakiejkolwiekbądź formie, bo życie idzie naprzód, stwarzając wciąż nowe warunki i nowe wymagania. Ale reformy powinny być wprowadzane oględnie, wypróbowane uprzednio w małym zakresie i przez czas dłuższy. Dlatego postanowiono, że okres przejściowy ma trwać 6 lat. Wielu pedagogów uważa, że obecna szkoła ośmioklasowa mogła mieć wpływ na swych uczniów w ciągu dłuższego czasu, co pozwalało jej kształtować umysły i urabiać charaktery w okresie najważniejszym, bo od dzieciństwa do wieku młodzieńczego. Obcięcie niższych klas i oddzielenie wyższych przetnie ciągłość metod i wpływów, dzieląc system wychowawczy na krótkie okresy. Dzieci wiejskie, uczęszczające w 70% do szkół powszechnych najniższego stopnia (jedno i dwuklasówki), będą musiały obecnie szukać szkoły powszechnej, więcej zorganizowanej, gdzieś w innej niejscowości, a dopiero po ukończeniu jej probować przejść do gimnazjum. W najlepszym razie więc przejdą przez trzy szkoły i trzy grupy wychowawców. Będzie to selekcja inteligencji i indywidualności, bo tylko jednostki wy-

bitne potrafią wybić się w tych warunkach, stanowiąc element dodatni, gdy natomiast szerokie masy, pchające się odruchowo do wyższych uczelni, nie licząc się ze swemi zdolnościami, obniżały tylko poziom naukowy i stwarzały malkontentów życiowych. Jeżeli na tysiąc studentów, uczęszczających w pierwszym roku do uniwersytetu, połowa zaledwie przechodzi na drugi kurs, po co tracić tyle czasu, energji i pieniędzy, jeżeli można po ukończeniu 6 klas gimnazjum znaleść szkołę zawodową, odpowiadającą lepiej kwalifikacjom ucznia? Profesorowie wyższych uczelni narzekają na niski poziom naukowy maturzystów, pomimo obszernego programu szkół średnich. Widocznie ogromny procent uczniów nie jest w stanie opanować go dokładnie i przyzwyczaja się traktować lekko swe obowiązki, licząc na szczęście, na „ściągaczki“ przy egzaminach i t. d., co wpływa bardzo ujemnie na kształtowanie się charakterów. Lepiej umieć mniej, ale dobrze, niż dużo, lecz powierzchownie. Trzeba też brać pod uwagę, że pokolenie powojenne jest dużo słabsze fizycznie, co już zostało stwierdzone przy przyjmowaniu ochotników do wojska.

We wszystkich prawie krajach Europy, a szczególnie we Francji, słyszy się narzekania na przeciążenie pracą szkolną i „Revue Universitaire“ rozesłała w 1931 r. ankietę do profesorów, nauczycieli i zrzeszeń rodzicielskich, aby tę sprawę zbadać dokładnie. Odpowiedzi były bardzo sprzeczne, ale większość przyznała: „że można obciąć niektóre działy fizyki i matematyki, pewne działy literatury, a zwłaszcza olbrzymi dział historji. Nie chodzi bowiem o ilość pokarmu duchowego, ale o to, jak ten pokarm zostanie zasymilowany. Dziś uczniowie, wobec przeładowania programu, uczą się powierzchownie, nie mając czasu nad niczem się zastanowić i ten sposób uczenia się przechodzi w zwyczaj. Nie to, co się robi, męczy umysł, ale stan umysłu, w którym się pracuje“.

Profesor Fontain w „Revue Internationale de l'Enseignement“ twierdzi przeciwnie, że niema właściwie przecią-

żenia, jest tylko niechęć do wysiłku umysłowego. Zwraca uwagę, że przyczyn tego zjawiska należy szukać nie wyłącznie w systemie szkolnym, ale w zjawiskach natury psychologicznej, często pozostającej w związku z higjeną. Gérard Varet, stwierdzając zaniedbanie wychowania fizycznego we Francji, dowodzi, że przeciążenie nauką daje się zauważyć więcej u dziewcząt, niż u chłopców, a spowodowane jest większą sumiennością w wykonywaniu zadań szkolnych. Uważa też, że 1/3 uczniów jest niezdolna do objęcia całego materjału, który program im narzuca i dochodzi do przekonania, że egzaminy wstępne i przejściowe powinny być utrudnione bezapelacyjnie, aby dawać wstęp do wyższych uczelni jedynie elicie umysłowej.

Towarzystwo Nauczycieli Szkół Średnich i Wyższych w Polsce rozpisało podobną ankietę, która stwierdziła niewątpliwie istnienie przeciążenia młodzieży pracą szkolną. Ale p. dyr. Degen-Ślósarska ostrzega, że „z zagadnieniem tem należy być ostrożnym i nie ujmować go przesadnie, zwłaszcza u nas, w Polsce, będącej na początku drogi ku wyrabianiu cnoty pracowitości“.

W każdej reformie, a więc i w szkolnictwie, najważniejszą rzeczą jest mieć przygotowane kadry wykonawców. Wychowanie nowego człowieka zależy przedewszystkiem od nauczyciela, a nie można wymagać od profesorów stosowania metody, której nie znają dokładnie, lub która im nie odpowiada. Gdy Otto Glöckel w 1919 r. został mianowany ministrem oświaty w Wiedniu, rozpoczął reformę szkolną od reorganizowania ministerstwa, usuwając prawników, biurokratów i zastępując ich fachowcami, nauczycielami wszelkich typów szkół. Następnie wydał odezwę do ogółu nauczycieli i wychowawców z wezwaniem, by zgłosili się na ochotnika ci, którzy pragną nowe zasady realizować. W ten sposób powstały klasy doświadczalne, a następnie całe szkoły. Fachowcy przyglądali się lekcjom, prowadzonym nowemi metodami, poczem następowała rzeczowa krytyka i coraz to pomysłowsze próby udoskonale-

nia programu, które doprowadziły po 6 latach do gruntownej reformy szkolnej. Wspaniały Instytut Pedagogiczny, mieszczący się w 18 budynkach, z bibljoteką, liczącą 130.000 tomów i 500 czasopism, przyczynił się wielce do wyszkolenia potrzebnych sił profesorskich.

Na Zjeździe Ligi Nowego Wychowania Dr. Elisabeth Rotten postawiła wielkie wymagania wychowawcom, domagając się od nich krucjaty przeciw temu, co się obecnie dzieje na świecie. Dowodziła, że trzeba, aby nauczyciel od siebie wymagał jak najwięcej, nie stawiał przed młodzieżą ideałów, których sam nie może lub nie chce wcielać w życie i przez podniesienie się na wyżyny duchowe stworzył nowy system wychowania. Bo głównie zwalczanie panującego dziś materjalizmu i powrót do pełnych prostoty i piękna cnót chrześcijańskich może pchnąć przyszłe pokolenia na nowe tory.

Marja Zabiełłowa.

PRZYCZYNEK DO PROJEKTU KONSTYTUCJI.

Zagadnienie naprawy ustroju Rzeczypospolitej ma już u nas wielowiekową tradycję. Nie jest więc ono do zlekceważenia, ani nie jest zupełnie możliwe opracowywanie projektów konstytucyjnych w oderwaniu od naturalnego podłoża rozwoju naszego ustroju politycznego i społeczno-gospodarczego. W tym sensie należy mówić o duchu konserwatyzmu ustrojowego, z którego właśnie zrodzony jest projekt konstytucji, opracowany przez redakcję „Naszej Przyszłości“.

Stojąc na wspólnej z jego autorami platformie ideowo-politycznej, mam jedynie rację do wyrażenia mego żywego zadowolenia z ogólnych tendencji, które ożywiają projekt i pogratulować raz po raz szczęśliwego i w obecnych naszych warunkach śmiałego sformułowania poszczególnych zasad. Ponieważ jednak autorzy nie uważają swego dzieła za ostatecznie ukończone, przeciwnie, zapraszają do dyskusji w celu jego uzupełnienia, pozwalam sobie sformułować tych kilka myśli, które mi nasunęła kilkakrotna lektura i analiza projektu.

Zgadzam się przedewszystkiem z punktem wyjścia autorów projektu, mówiących, że konstytucja powinna być wyrazem założenia, iż „państwo jest dla obywateli, a nie obywatele dla państwa“. Uprzytomnienie tej elementarnej prawdy, która jest i może być jedynym praktycznym wykładnikiem zasady solidaryzmu społecznego, staje się paląco niezbędne w naszych czasach, które zatruł duch t. zw. demokracji.

Hasła demokratyczne w praktyce życia doprowadziły do pognębienia jednostki, a w konsekwencji do chaosu społecznego. Społeczeństwo bowiem składa się z jednostek

i zespołów tych jednostek. Nie może się więc dziać dobrze w takiem społeczeństwie, w którem interesy jednostki nie są należycie zaspakajane. Społeczeństwo jest poniekąd fikcją polityczno-gospodarczą, która symbolizuje w pewien sposób ogół interesów obywateli. Interesy społeczeństwa jedynie w tym sensie mogą supremować nad interesami jednostki. To znaczy, że t. zw. wzgląd na dobro społeczne nie jest kategorycznym imperatywem życia. Zasada kategorycznego imperatywu Kanta, wyrażona w życiu społecznem w postaci przemocy państwa nad jednostką, zdaniem niektórych uczonych niemieckich, zastanawiających się nad przyczynami upadku cywilizacji, zbankrutowała i to w sposób najhaniebniejszy i najpotworniejszy wśród huku dział wielkiej wojny i wśród krzyku stu miljonów głodnych, wołających: „chleba! chleba!".

Dobrze się więc stało, że autorzy projektu fakt ten odpowiednio podkreślili.

W konsekwencji zaś tego punktu wyjścia, że następnie zaakcentowali w sposób mocny i zdecydowany prawo pracy. Jest to elementarne prawo jednostki, którego wykonywanie jest niezbędnym atrybutem utrzymania jej bytu. Omyłka współczesnej demokracji polega na tem, że walcząc w imię iluzorycznego, enigmatycznego dobra społecznego, które niewiadomo co ma wyrażać, pognębiła realne i namacalne prawo samozachowania jednostki.

W zasadzie więc pochwalam dążność autorów do czysto deklaratywnego ujmowania podstawowych prawd ustrojowych, czyli zasad takiej umowy społecznej, w której jednostka znalešćby mogła oparcie dla swych aspiracji i wykonywania swych uprawnień. W tym zakresie musi być konsekwentnie przeprowadzona zasada, że żaden obywatel kraju nie może być obciążony większemi zobowiązaniami, niż pozwalają na to korzyści, jakie czerpie. Wydaje się to truizmem, a przecież jest to właściwie kamień probierczy racjonalności każdego ustroju. Jako przykład fałszywego rozwiązania tego problemu mogą służyć Sowiety, które,

uwiedzione mirażem powszechnego, komunistycznego dobrobytu, doprowadziły do zrównania wszystkich na poziomie nędzy, a przez to zniszczyły właściwą podstawę wzmożenia się cywilizacji i kultury w społeczeństwie. Ten przykład powinien działać odstraszająco na wszystkich, którzy chcieliby upatrywać w doktrynie komunizmu i egalitaryzmu społeczno-gospodarczego czynnika socjalnie twórczego.

Przeciwko takiemu doktrynerstwu należy z mocą podkreślić zasadę tworzenia elity, na której też opiera się omawiany projekt konstytucji. Zasada ta, wyrażona w nim tak szczęśliwie — nie mam tu zamiaru wypowiadać jakiegoś komplementu — przewija się, powiedzmy, podświadomie, przez całe dzieje polskie, w jej ustrojowych formach. Koncepcja Rzeczypospolitej z monarchą na czele jest właśnie taką syntezą dwu tendencji zasadniczych życia — społecznej i indywidualnej i oparcia umowy społecznej na podstawie elity, której symbolem jest monarcha. Dlatego też uważam wprost za rewelacyjne w projekcie autorów, że stworzyli możliwość nawrócenia na wytkniętą dziejami trasę ustrojową Polski.

Po tych paru słowach wstępu przejdę teraz do szczegółowych uwag, dotyczących tekstu projektu.

Zgadzam się całkowicie z tem, że został on osnuty na kanwie konstytucji marcowej. Ma ona swoje zalety, które należy wykorzystać. Co do strony redakcyjnej, zwłaszcza w zakresie komentarza, który ma być także prawem obowiązującem, zaznaczyłbym conajwyżej potrzebę bardziej kategorycznych, a nie dyskursywnych sformułowań.

POPRAWKI I KOMENTARZE.

Ad 5) Proponuję redakcję: „Podstawą państwowego ustroju R. P. jest solidaryzm społeczny. Wszystkie grupy społeczne i zawodowe, oraz ich członkowie, są równouprawnione i obowiązane do współdziałania w interesie ładu, pokoju społecznego i do-

brobytu powszechnego. Niedopuszczalne jest wyróżnianie pewnych obywateli, czy ich grup lub zrzeszeń, według pochodzenia, zamożności i stanowiska zawodowego i społecznego.

Ad 6) Od słowa „któreby“ proponuję skreślić.

Kom.: Moja redakcja zmierza do nadania bardziej ogólnego charakteru temu artykułowi, w celu zatarcia już w jego treści wszelkiego śladu dawnego, sztucznego podziału społeczeństwa rodowego, grupowego czy klasowego.

Ad 10) Wszyscy mężczyźni są obowiązani do służby wojskowej.

Kom.: Chodzi tu o dokładne sprecyzowanie, ponieważ słowo obywatel w tekście używa się w zastosowaniu do obu rodzajów.

Ad 11) Obywatele mają obowiązek i prawo wychowania swych dzieci na ...obywateli R. P. oraz prawo zapewnienia im conajmniej początkowego wykształcenia.

Kom.: Wprowadziłem pojęcie „prawo“, aby podkreślić ciążący na państwie obowiązek w zakresie elementarnego szkolnictwa.

Ad 15) Po słowach „i wyrządzoną przez nie szkodą moralną czy materjalną“ proponuję dodać „oraz świadomością wagi przestępstwa“.

Kom.: Postulat sprawiedliwego wymiaru kary wymaga uwzględnienia czynnika psychologicznego oraz stopnia kultury umysłowej przestępcy. Im wyższe ukształcenie umysłu, tem wyższa odpowiedzialność za przestępstwo.

Ad 16) Na końcu dodać: „i mają prawo dochodzenia szkód i strat“.

Ad 18) Na końcu dodać: „a także minimum przestrzeni leśnej“.

Kom.: Ochrona lasów, które z różnych względów stanowią dobro użyteczności ogólnej, winna znaleźć,

zdaniem naszem, właściwy wyraz w konstytucji. Dotychczasowa rabunkowa gospodarka leśna chyba na potrzebę tego wskazuje.

Ad 21) Po słowach „przekraczających tę normę“ dodać „państwo też może wpływać na wysokość płac pracowniczych w kierunku zasady t. zw. płacy rodzinnej“.

Kom.: Przyjmując tezę ochrony kontraktu pracy, muszę tu wskazać na konieczne jej uzupełnienie, bynajmniej nie w kierunku pojęcia „minimum egzystencji“, jako rzeczywiście dość trudnego do określenia, natomiast w kierunku zawarowania drugiego, obok postulatu samozachowania prawa pierwiastkowego, t. j. prawa zachowania gatunku. Państwo, jako zespół interesów, ma szczególny obowiązek, jeśli tak się można wyrazić, zabezpieczenia procesu populacyjnego. Ponieważ zaś naturalną podstawą tego procesu jest rodzina, jako społeczność moralna i ekonomiczna, więc też dążność do zabezpieczenia jej bytu, w całym jego zakresie, jest prostą konsekwencją uznania jej istnienia i jej niezbędności społecznej.

Ad 19) Po słowach „granic opłacalności“ uzupełnić: „Prawo do uczciwego zarobku i godziwego zysku“. W akapicie „Ogółem“ skreślić słowa „Konstytucja nin. nie uznaje pojęcia „minimum egzystencji“, aż do „Natomiast. . .“. Po słowach „nadużyciom prawa do zarobku“ dodać: „i zysku“.

Kom.: Wprowadzam pojęcie „godziwego zysku“, aby przez nie ogarnąć drugą sferę życia ekonomicznego — operacje finansowe. Termin „zarobek“ zazwyczaj bowiem bywa używany w odniesieniu do pracy fizycznej. Broniąc się przeciwko dążeniu do uprzywilejowania pracy, nie należy jednak zaniechać postulatu walki z wyzyskiem spekulacji finansowej.

Ad 23) Po słowach „przez pośrednictwo państwowe" dodać „na warunkach wolnego najmu".

Kom.: Jest to ważny postulat, broniący prawa wolności, a wynikający z art. 20. W czasach, kiedy rodzą się koncepcje pracy przymusowej i kiedy w jednym z największych państw świata są wprowadzane nawet w życie, jest rzeczą wskazaną na wszelki sposób zabezpieczyć prawa jednostki do wolności osobistej.

Ad 28) Skreślić słowo „i wyższej".

Kom.: Ogólne wyłożenie zasady obrony kultury powinno wystarczać. Pojęcie: wyższa czy niższa kultura, jest dość trudne do sprecyzowania, a w państwie narodowościowo mieszanem może prowadzić do różnych nieporozumień.

Ad 31) Proponuję redakcję: „Poręcza się obronę czci obywatela. Osobna ustawa określi odpowiednie sankcje za jej naruszenie, a także za dochodzenie swej czci w drodze samosądu, zwanego pojedynkiem"

Kom.: Zgadzając się całkowicie z wprowadzeniem do konstytucji normy, broniącej czci obywateli, pozwalam sobie jedynie inaczej ująć formułę prawną.

Ad 34) Przeredagować: „Wszyscy obywatele R. P. mają prawo swobodnego wyznawania i praktykowania — zarówno publicznie, jak prywatnie — swej wiary i wykonywania przepisów swej religji lub obrządku w zakresie kościelnym. . .".

Kom.: Z jednej strony wprowadziłem termin „i praktykowania", aby wypowiedzieć wszystkie konsekwencje swobody wyznania, z drugiej zaś termin „w zakresie kościelnym", aby jeszcze mocniej podkreślić, że wyznawanie swej wiary i praktykowanie kultu nie powinno godzić w interesy państwa.

Ad 37) Na końcu dodać: „Państwo gwarantuje zwłaszcza wychowanie religijne młodzieży oraz poszanowanie kościelnego prawa małżeńskiego".

Kom.: Uzupełnienie to nie wymaga właściwie uzasadniania, zwłaszcza dziś, gdy mnożą się ataki na chrześcijańskie wychowanie i małżeństwo.

Ad 39) Po słowie „i ujawnienia" dodać: „utalentowanym jednostkom, które mogą się dodatnio zaznaczyć w działalności społecznej, służbie administracyjnej, parlamencie i wogóle kulturalnem życiu narodu".

Kom.: Uważałem za wskazane podkreślenie ogólnego kulturalnego interesu państwa, co wiąże się ściśle z pojęciem, wysuniętem przezemnie — elity.

Ad 46) Treść tego artykułu szczególnie mi odpowiada i nasuwa mi następujący

Kom.: Wprowadzenie zasady plebiscytu dla wyboru dożywotniego Prezydenta jest zarówno nawiązaniem do polskich tradycji elekcyjnych, jak i jednym ze szczęśliwych przejawów w tym projekcie tendencji w kierunku zalecanej już przez św. Tomasza z Akwinu mieszanej formy władzy arystokratyczno-demokratycznej. Słowem, jest to dalsza próba rozwiązywania problemu elity kierowniczej, korzystającej z aprobaty społeczeństwa. Nie trzeba ukrywać, że tu tkwi właśnie cała trudność zagadnienia ustrojowego i że cała wartość koncepcji konstytucyjnej polega głównie na umiejętnem powiązaniu postulatów demokracji i rządzącej elity. Całkowicie zgadzamy się z autorami projektu w zakresie ich dążenia do wzmocnienia powagi władzy głowy państwa, w której skupiają się wszystkie zakresy władzy społecznej: ustawodawcza, administracyjna i sądowa, a także i wojskowa.

Ad 50) Punkt c), mem zdaniem, powinien brzmieć: „posiadający odpowiednie wykształcenie i wyrobienie społeczne".

Kom.: Postulat ukończenia szkoły wyższej, mojem zdaniem, nie rozwiązuje problemu kwalifikacji. Znam niejednego doktora czy inżyniera dyplomowanego,

którzy mają niesłychany chaos w głowie i nieraz nie umieją dostatecznie poprawnie wyrażać swych myśli.

Ad 71) Całkowicie popieram stanowisko autorów w ich dążeniu do podniesienia wyników wyborów przez podwyższenie wieku wyborcy i wybieranego, a dalej (art. 77), przez związanie posła z jego okręgiem. Słuszne jest usiłowanie zlikwidowania różnych niedorzecznych fikcji w rodzaju posła, reprezentującego cały naród. Nie znaczy to, by poseł nie mógł wyrażać tego, co się nazywa opinją publiczną, chodzi jednak o ściślejsze związanie go z terenem, na którym wypowiedziała się „wola narodu“, kreująca go posłem.

Ad 74) Postulat wyeliminowania duchowieństwa z izby niższej jest słuszny. Miałem już go sposobność wyrazić w mym artykule, drukowanym na łamach „Naszej Przyszłości“. Nie znaczy to, by pozbawiać Kościół wpływu na ustawodawstwo. Zapewniają mu go wiryliści i to niewątpliwie w stopniu o wiele wyższym.

Ad 105) Uważam za trafne ustalenie, że odmowa uchwały jakiegoś wniosku czy ustawy, wniesionej przez Rząd, nie równa się votum nieufności dla ministra czy rządu. Jest to konieczne w celu stworzenia tego, co ja nazywam ciągłością władzy, a co obok wielu innych czynników wzmaga powagę władzy.

Na tem chwilowo ograniczam me uwagi i komentarze, w przewidywaniu dalszej dyskusji.

Józef Czarnecki.

CZEM GROŻĄ RADYKALNE PRĄDY W NAUCZYCIELSTWIE

Pod fundamentami kilkodziesięciotysięcznej rzeszy nauczycielstwa polskiego odbywa się niewidocznie prawie, a zarazem systematycznie i wytrwale, pewna robota. Tylko tu i ówdzie zdradzi ją jakiś silniejszy zgrzyt, pochodzący od ciężkich narzędzi, trzymanych niekiedy w brutalnych, albo niezręcznych dłoniach. Zaczyna się wówczas rumor, protesty, polemika prasowa i t. p., które niebawem cichną, a robota idzie nadal we właściwem sobie tempie.

Gdyby chodziło o jakąś dziedzinę życia mniej ważną, mniej czułą, nie dziwiłoby to może trzeźwego widza. Ale chodzi tu o wychowanie narodu, chodzi o tych, którym miljony rodziców z zaufaniem powierzają i powierzać muszą swoje dzieci.

Niedawno czytaliśmy w prasie, że aresztowany został w związku z wykryciem wielkiej afery wywrotowej nauczyciel Tadeusz Oryng z Warszawy. Dochodzenie ustaliło, że w mieszkaniu jego znajdował się podręczny arsenał broni i materjałów wybuchowych, urządzony przez komunistyczną partję w Polsce. Nazwisko tego nauczyciela nie było w chwili wykrycia afery obce uważnym czytelnikom prasy. A mianowicie p. Oryng dał się już w ciągu ostatnich kilku lat poznać jako żarliwy propagator bezbożnictwa wśród nauczycielstwa i młodzieży na terenie szkolnym.

Na pierwszy rzut oka mogłoby się zdawać, że nie stało się nic ważnego; ot, wypadek propagandy bezbożnictwa i komunizmu przez jakiegoś tam nauczyciela. Ale jakże inaczej przedstawia się ta sprawa, kiedy sięgniemy do jej podstaw i odsłonimy rąbek zasłony kulisów działalności całej

potężnej organizacji, posiadającej wszelkie dane, stanowiące niezawodną rękojmię skuteczności jej poczynań.

I tu dochodzimy do samego sedna sprawy.

Przejawianie się skrajnych kierunków społecznych i religijnych w łonie nauczycielstwa naszego nie ogranicza się bynajmniej do pojedyńczych wypadków u jednostek. Nurt tych prądów ma swą genezę przedewszystkiem w działalności t. zw. „Koła spasowiaków", czyli Koła uczniów prof. Spasowskiego, który był kierownikiem kursów nauczycielskich, t. zw. Pedagogjum, powstałego z przemianowanych w 1928 r. kursów nauczycielskich im „Nałkowskiego". „Koło spasowiaków" tworzy, jak to wyraźnie jest stwierdzone w jego biuletynach, lewe skrzydło radykalnego Związku Polskiego Nauczycielstwa Szkół Powszechnych, a za główny cel swej działalności uważa walkę z religją na terenie szkoły.

Ażeby nie być gołosłownym i w tych twierdzeniach, podajemy poniżej dokładny opis jednej z t. zw. konferencji pedagogicznych, jakie bywają urządzane przez powyższe Koło celem szerzenia propagandy antyreligijnej poza ramami tej organizacji. Na zebrania te mają mianowicie wstęp również nauczyciele, nie będący członkami Koła.

Temat konferencji był tym razem „Szkoła antyreligijna". Podajemy krótkie streszczenie jej przebiegu. Prelegent zaznacza na wstępie, że religja pozostaje w sprzeczności z nauką. Przytacza on na to dwa „popularne" dowody: Kopernik i Galileusz. W dobie obecnej nic się nie zmieniło pod tym względem — zwalcza się Darwina i Einsteina. Stanowisko Kościoła wobec mas pracujących jest wrogie, stanowi on bowiem czynnik polityczny, występujący w obronie umocnionej władzy. Nauczycielstwo wino przeto domagać się usunięcia nauki religji ze szkół. Kiedy nie będzie religji w szkole, nie będzie też wpływu księdza na dzieci. Lecz to nie wystarcza, albowiem ksiądz ma jeszcze dostęp do domu, do rodziny, a i literatura może w domu ugruntowywać wpływy religijne. Konieczna jest przeto

szkoła antyreligijna — nietylko areligijna, lecz wprost antyreligijna — bo pierwsza oznacza tylko bierny stan walki, podczas gdy druga równa się czynnemu stanowi walki z religją.

Dalej, nauczyciel nie powinien operować argumentami, które mogłyby utwierdzić religję. Obowiązkiem jego jest i programem podejmować walkę wszędzie tam, gdzie ona może dać dodatnie wyniki, a więc przedewszystkiem przy wykładzie takich przedmiotów, jak fizyka i przyroda. Należy dzieciom przedstawiać pojęcia naukowe w takiem świetle, ażeby one podważały ich wierzenia religijne. Należy wszędzie wskazywać na różne „przesądy" religijne. Trzeba wykazywać wsteczność i nieaktualność treści dzieł literatury, uchodzących za świętości narodowe. Należy usuwać z przed oczu dzieci wszelkie wspomnienie o Bogu, a nie poruszać zagadnień, w których niemożliwem byłoby wyminąć pojęcie Boga bez podkopania wiary w Niego. Najważniejszą wszakże rzeczą jest, zakończył prelegent, podkreślanie przy każdej sposobności sprzeczności religji z nauką, tak, jak to czyniono w „naszej szkole", czyli w Pedagogjum.

Po tych wywodach zaczęła się niemniej „interesująca" dyskusja. Z kilkunastu przemówień zacytujemy tylko kilka, które jednakże dostatecznie uplastycznią poziom, na jakim się rozwijała i ducha, jaki ją ożywiał.

Jeden mówca twierdził, że jest nonsensem pozostawianie rodzicom do wyboru, czy pragną religijnego wychowania swych dzieci w szkole, czy też nie, albowiem lud stuprocentowo pójdzie za religją. Winę w znacznym stopniu ponosi tu P. P. S., głosząc obłudne hasło walki z klerem, a nie walki z religją. Obłuda ta, polegająca na kłamliwem twierdzeniu, że tylko komunizm walczy z religją, zaś socjalizm walczy z klerem, to tylko taktyka polityczna, by nie stracić zbyt wielu mandatów.

Inny mówca, wskazawszy na tak idealną harmonję poglądów uczestników konferencji, wyjaśnia, iż należy to

zawdzięczać faktowi odbycia już wielu takich konferencji, na których poglądy zostały uzgodnione. Tenże sam mówca zarzuca — analogicznie, jak to uczynił poprzednio cytowany w stosunku do socjalistów polskich — kierownikom Związku Pol. Naucz. Szkół Powszechnych identyczną obłudę, wyrażającą się w tem, iż nie chcą zająć otwarcie stanowiska w walce z Kościołem, w obawie przed niezawodnem zmniejszeniem się liczby członków Związku. Na poparcie swoich słów przytoczył bardzo charakterystyczne powiedzenie jednego z czołowych przedstawicieli Związku, a mianowicie posła Nowickiego, że za dużo odpadłoby nauczycielstwa od Związku, gdyby właściwe oblicze ukazał. . . !

Znamienne to wynurzenia, tem znamienniejsze, że pochodzą z ust wybitnych członków Związku P. N. S. P.

Niezwykle charakterystyczne były wywody szóstego z rzędu mówcy. Przewiduje on, że nadejdzie może czas, kiedy kościoły zamienią się na bibljoteki, muzea, dancingi i domy publiczne (dosłownie tak!), co też wywołało wesołość i zadowolenie na sali i że literaturę naszą dostosuje się do idei antyreligijnej; lecz jednej rzeczy nie da się zmienić — a jest nią uczucie religijne, tkwiące w człowieku, niezależne i trwalsze, niż przesądy, tradycje i t. p. Walkę z Kościołem, która dzisiaj wre, można prowadzić — twierdzi mówca — a nawet wierzy, iż zwycięsko, lecz walki z uczuciem religijnem nie! Wreszcie bardzo wiele mówiące jest jeszcze jedno twierdzenie tego mówcy (snać pochodzącego z ludu, albowiem znającego dobrze duszę chłopa). A mianowicie, nie podejmuje się on iść z ideą walki z Kościołem do chłopa, bo cóż mu damy — mówi — wzamian? Osiądzie na gruzach!

Szereg innych mówców wykazywało, że szkoła świecka może w sobie mieścić już najzupełniej treść szkoły antyreligijnej, że nie potrzeba zatem propagować jawnie szkoły antyreligijnej i zdejmować maski z oblicza, co nadto musiałoby pociągnąć za sobą rozłam w nauczycielstwie związkowem; następnie, że kursy wieczorne na wsi są naj-

lepszem narzędziem szerzenia niewiary przez odpowiednie tłumaczenie zjawisk przyrody i t. p., a chłop, który wolno i leniwie czyta, bardzo chętnie natomiast słucha; dalej, że religji, która zakorzeniła się, jak dąb, w uczuciowość i umysłowość tłumu, niepodobna zwalczać jawnie, a natomiast trzeba podstępem podgryzać jej korzenie i to podstępem, jak najdalej idącym, tak w rzeczach wielkich, jak i drobnych, zarówno wśród dzieci, jak i rodziców i nauczycielstwa; wreszcie, że trzeba chłopu wtłaczać w głowę, iż wiara i ksiądz są narzędziami obszarnika dla gnębienia i trzymania na powrozie chłopa, a więc nie ruszać jego uczuć religijnych, lecz wskazywać mu na konieczność walki o swe prawa z obszarnikiem, który go gnębi w sojuszu z księdzem.

Wreszcie czternasty i ostatni z rzędu mówca postawił kropkę nad „i", wyrażając bez osłonek, że szkołę antyreligijną stworzyć może w przyszłości dopiero to dziecko, które oni, zebrani, obecnie przygotowują, że to dziecko wpłynie na starszych i podważy religję, że przesądy religijne związane są zawsze z burżuazyjnym porządkiem, lecz gdy przyjdzie chwila sprzyjająca, cały ten przewrót społeczny i umysłowy dokona się razem natychmiast.

Prelegent, reasumując, trwał przy haśle jawnej szkoły antyreligijnej.

Zagłębiwszy się tak na kilka chwil myślą w przebieg takiej „konferencji pedagogicznej", mimowoli — zanim się człowiek ocknie — ma się wrażenie, że to wszystko, co tam mówiono, nie dzieje się w Polsce, ale chyba w Sowietach!

Nie będziemy tu też wnikać w sferę filozoficzną zagadnienia, którą pozostawiamy kompetencji innych. Niepodobna wszakże powstrzymać się od wyrażenia na tem miejscu kilku uwag, które, aczkolwiek zazębiają się z dzie-

dzinami, raczej poza publicystyką leżącemi, tem niemniej muszą się nasunąć każdemu, kto wnika w powyższe zagadnienia.

Na wstępie jedno słowo à propos metod tych „apostołów" ateizmu i komunizmu.

Jest rzeczą oburzającą, że nauczyciele pod osłoną powagi nauki, pod pokrywką postępu, pod pozorem troski o prawdę, w najnieuczciwszy sposób szerzą ideologję socjalistyczno-masońską wśród nauczycielstwa i młodzieży szkolnej, która im zostaje powierzona z ufnością przez rodziców. A więc zamiast wychowywania dzieci, deprawuje się je w sposób niegodny przez „podstępne podgryzanie korzeni" tego, co im jest drogie i potrzebne, na czem została zbudowana i opiera się dotąd kultura europejska. Jeśli metody podobne wogóle są niegodne, to dotyczy to całkiem szczególnie wychowawców młodzieży.

Nie zamierzamy na tem miejscu przekonywać nauczycieli-ateistów i komunistów o niesłuszności ich poglądów. Czy religja jest sprzeczną z nauką, o tem przekonywuje się świat coraz bardziej. Właśnie najnowsze czasy obfitują w liczne dowody, że ten popularny zarzut przeciwników religji jest całkiem bezpodstawny. Czy szkoła świecka jest najlepszem rozwiązaniem, jeśli chodzi o publiczne wychowanie młodzieży, na to niechaj im odpowie największy niegdyś zwolennik szkoły świeckiej we Francji, Buisson, który wyznał, że owocem dwudziestoletniej pracy francuskiej szkoły świeckiej jest jej bankructwo moralne. Cóż więc powiedzieć o szkole antyreligijnej, propagowanej przez pewien odłam naszych nauczycieli? Czy wreszcie nauka sama utrzyma na swych barkach ogrom dzieła kultury ludzkiej? Nad tem ci nauczyciele z pewnością się nie zastanawiają.

Bodźce i sprężyny tej propagandy ateistycznej muszą więc być zgoła inne, przynajmniej wynika to z jaskrawych wypadków, ujawnianych od czasu do czasu. Weźmy np.

sprawę p. Orynga, którego cytowaliśmy powyżej. Rozwijał on do czasu, zanim go osadzono w więzieniu, bardzo ruchliwą działalność ateistyczną. M. in. wygłosił na jednej z takich „konferencji pedagogicznych“ referat (o którym bardziej wyczerpujące dane znaleść można w biuletynie „Koła spasowiaków“), w którym powiedział: „Wychodząc z założenia, że t. zw. szkoła świecka nie usuwa dostatecznie wpływów religijnych, działających z różnych źródeł, domagamy się szkoły antyreligijnej, w której szeroko byłaby rozwinięta propaganda antyreligijna. W dzisiejszych warunkach trudno oczywiście marzyć o takiej szkole. Jednak przy dobrych chęciach nauczyciel ma możność przy nauce każdego przedmiotu prowadzić propagandę antyreligijną. Kto wyszedł z „naszej szkoły“, ten dobrze jest przygotowany do t ę p i e n i a z a b o b o n ó w r e l i g i j n y c h. Szkoła bezwyznaniowa jest dla nas przeżytkiem; naszym celem jest szkoła antyreligijna. Do tego idziemy i chwila realizacji tych naszych dążeń nadchodzi. S z k o ł a m u s i b y ć a n t y r e l i g i j n a, g d y ż m a w y c h o w a ć b o j o w n i k ó w w a l k i k l a s o w e j“.

Tak mówił p. Oryng.

Mówił o ateiźmie, a nie wspominał o komuniźmie, lecz kiedy go aresztowano w ub. r. za działalność wywrotową i osadzono w więzieniu, wszystkim stało się jasne, gdzie tkwiło źródło tego żaru antyreligijnego p. Orynga. Jest on mianowicie kuzynem sowieckiego komisarza wojny, Unschlichta... I nie potrzeba też szerzej rozwodzić się nad tem, że głównym czynnikiem propagandy ateistycznej, nietylko u nas, lecz na całym świecie, jest obecnie komunizm rosyjski. Jest to bowiem rzecz powszechnie znana.

Tak wygląda lewe skrzydło radykalnego odłamu naszego nauczycielstwa, reprezentowane przez „Koło spasowiaków“. A jak wygląda reszta radykalnego obozu naszego nauczycielstwa i kto ją reprezentuje? Jest nim cytowany już powtórnie Związek Polskiego Nauczycielstwa

Szkół Powszechnych, którego członkami są również „spasowiacy".

Jeśli chodzi o ideologję Związku, to jest ona jasno sformułowana, oczywiście nie w statucie, bo tam nie wszystko jest napisane — ze zrozumiałych powodów. Lecz praktyka wyłoniła wyraźniejszą definicję ideologji Związku. Możemy się o tem przekonać, jeśli się zapoznamy bliżej z jego działalnością. I tak np. Warszawski Oddział Związku powziął dn. 16 października 1927 r. uchwałę, w której członkowie Związku domagają się usunięcia religji ze szkoły, jako przedmiotu, kolidującego z dzisiejszym stanem nauki, oraz zaprowadzenia szkoły świeckiej.

O ideologji Związku będziemy jeszcze mieli sposobność mówić w dalszym ciągu. Dodamy tu jeszcze tylko charakterystyczny szczegół, jeśli chodzi o stosunek Związku do Chrystjanizmu. Otóż Związek, który na każdym kroku, gdzie się tylko wyłania sposobność, podkreśla, iż jest zrzeszeniem zawodowem o charakterze wybitnie narodowym, miał okazję wypowiedzenia się w sprawie tej swojej „narodowości", a zarazem i „chrześcijańskości" w latach 1920 i 1921, kiedy to były prowadzone rozmowy ze Stowarzyszeniem Chrześcijańsko-Narodowem Nauczycielstwa Szkół Powszechnych w sprawie połączenia się obu tych organizacji. Pertraktacje rozbiły się, a prezes Związku, p. Nowak, nazwał proponowane przez Stowarzyszenie wprowadzenie do nazwy zrzeszenia wyrazów „chrześcijańsko-narodowe" — „bombą gazobójczą" w karnych szeregach Związku, która pozbawiłaby życia ten wielki zespół.

Jeśli więc moment narodowości, tak silnie wszędzie przez Związek podkreślany, nie mógł stanowić tego trującego gazu, to musiał nim najwidoczniej być moment chrześcijańskości.

Ażeby się dokładniej zapoznać z założeniami i celami Związku, trzeba wniknąć głębiej w jego działalność.

Zasadniczym postulatem Związku jest t. zw. szkoła świecka. Związek nie prowadzi naogół jawnej walki z Kościołem, lecz czyni to w sposób zamaskowany. pośredni, głównie przez urabianie umysłowości za szkołą świecką. O przyczynach, dla których Związek woli prowadzić tę walkę w ukryciu, nadmieniliśmy już uprzednio, a mianowicie ze względu na niebezpieczeństwo utraty wielu członków, dla których wiara nie jest tylko czczym wyrazem.

Ażeby i w tym wypadku nie być gołosłownym, przytoczymy na powyższe szereg dowodów.

Jeden taki dowód, w postaci uchwały Warszawskiego Oddziału Związku w sprawie usunięcia religji ze szkoły, przytoczyliśmy już poprzednio. Świadczy on o istnieniu radykalniejszych prądów w Oddziale Warszawskim, aniżeli może w innych, jak zresztą na stołeczny oddział Związku „przystało", który powinien wszak świecić „dobrym przykładem". Protestu nota bene przeciwko tej uchwale Warszawskiego Oddziału nie było, co dowodzi, że Związek. jako całość, solidaryzował się z nią.

Związek szerzy wolnomyślicielstwo przez propagowanie na łamach swego organu prasowego „Głos Nauczycielski" — wydawnictwa antyreligijnego — „Życie wolne", jak się o tem można przekonać, zajrzawszy do N-ru 7-go z 1927 r. „Głosu Nauczycielskiego". Bardziej jeszcze charakterystycznem dla działalności Związku jest to, jaką strawę duchową podaje jego oficjalny organ swoim czytelnikom w wydawnictwie związkowem „Wiedza i życie". na łamach którego jest już całkiem wyraźnie propagowany ateizm, a nawet ośmieszane są w bezwstydny sposób rzeczy, święte dla każdego chrześcijanina.

I tak, w N-rze 8—9 z 1928 r. czasopisma „Wiedza i życie" zamieszczony jest artykuł p. L. Rotensztejna p. t. „Socjolog angielski o pochodzeniu mitów". Autor usiłuje tam dowieść, że religja jest zbiorem mitów, które powstawały u wszystkich narodów na tych samych zasadach. Powtarza on za tym swoim socjologiem (a mianowicie Fraze-

rem), że legendę o cierpiącym bogu, umierającym śmiercią męczeńską wczesną wiosną, odnaleść można w całym szeregu religji, „pod różnym stopniem szerokości geograficznej“. A dalej mówi: „Zjadanie ciała boga przeszło z czasem w symbol... I wszędzie tam, gdzie znajdujemy legendę o takim cierpiącym bogu, widzimy, że bywa on uśmiercany właśnie wtedy, gdy kończy się okres jego młodości, mniej więcej około trzydziestego trzeciego roku życia“.

Tak wsącza się jad wątpliwości w duszę tych, którzy sami mają wychowywać innych, którzy mają przygotowywać przyszłość narodu.

Można sobie wyobrazić stan duchowy nauczyciela, który żyje gdzieś w wiosce lub małem miasteczku, daleko od ośrodków szerszej myśli naukowej, a którego poi się podobną trucizną! Dowiaduje się on, że jego największe świętości religijne, to mit. Jego dotychczasowe przeświadczenie, iż należy do społeczności religijnej, która daje najgłębsze wyczucie najwyższej Istności, zostaje zachwiane; wszak przecież to wszystko jest niczem innem, jak tylko prastarym mitem, „spotykanym pod różnymi stopniami szerokości geograficznej“.

Jeśli jeszcze mamy przytoczyć dalsze przyczynki do działalności Związku na terenie wewnętrznokrajowym, to nadmienimy w krótkości o jego metodach walki o szkołę świecką.

Można je dokładnie śledzić w kampanji, jaką Związek stoczył ze znanym okólnikiem ministra W. R. i O. P., Bartla, o obowiązkowem nauczaniu religji w szkołach. Dla lepszego przypomnienia sprawy tego okólnika nadmienimy, iż w 1927 r., po jego ogłoszeniu, zaczęła się gwałtowna propaganda pewnych kół za cofnięciem tego okólnika. A nawet wniosek taki przeszedł w Sejmie i Senacie, co jednakże spowodowało taką burzę protestów społeczeństwa, że cofnięcie okólnika nie nastąpiło. Związek wystąpił, rzecz oczywista, jak najzdecydowaniej przeciwko okólniko-

wi, podnosząc zarzut, iż treść jego jest sprzeczna z Konstytucją, że zmierza on do sklerykalizowania szkolnictwa przez nadanie duchowieństwu dominującego stanowiska w szkole. Wysunięto również bardzo zręcznie sprawę odpoczynku niedzielnego nauczycielstwa, który rzeczony okólnik czynił jakoby problematycznym, wobec rzekomego oddawania nauczycielstwa pod supremację duchowieństwa.

W tym to okresie delegaci Zawodowego Związku Nauczycieli Szkół Średnich, który się później połączył ze Związkiem P. N. S. P., wystąpili wobec ministra W. R. i O. P. z postulatem szkoły jednolitej i świeckiej.

Należy tu dodać, iż t. zw. szkoła świecka jest naczelnym postulatem masonerji. W ogólności, jeśli się śledzi praktyczne cele, do jakich dąży Związek, można z łatwością się przekonać, że ideologja Związku idzie po linji masońsko-socjalistycznej. Postaramy się to również wykazać w stanowisku Związku na terenie międzynarodowym, do którego zaraz przejdziemy. Wreszcie systematyczne zwalczanie duchowieństwa przez Związek stanowi jeszcze jedną analogję między ideologją Związku i masonerji.

Ażeby dać możliwie obraz całokształtu działalności i tendencji Związku, nie możemy omieszkać wspomnieć o jednej jeszcze formie walki z religją pewnych czynników w jego łonie. Jest nią mianowicie propaganda na rzecz nauczania w szkołach religji akonfesjonalnej, czyli podawania zasad, wspólnych wielu religjom. Ta forma propagowana jest przez organ Związku na okręg łódzki „Szkoła i Nauczyciel".

Wreszcie bardzo charakterystyczne są dla ideologji Związku rezolucje urządzonego przezeń w 1926 r. zjazdu w sprawie wychowania moralnego, mającego na celu przygotowanie się do IV Międzynarodowego kongresu wychowania moralnego w Rzymie. Ideał wychowania moralnego zależy — wedle tych rezolucji — od dążeń społecznych pań-

s t w a, a n a w e t w a r s t w s p o ł e c z e ń s t w a. Z n a j d u j e o n o p a r c i e „w m o r a l n o ś c i ś w i a t a p r a c y i j a k o t a k i w i n i e n b y ć p o d s t a w ą m i ę d z y n a r o d o w e g o w y c h o w a n i a m o r a l n e g o. Szkoła współczesnej demokracji winna wszystkimi środkami, jakimi rozporządza, zmierzać do oddziaływania na psychikę wychowanków w duchu tak rozumianego ideału moralnego".

A więc krótko i węzłowato: etyka proletarjacka ma się stać podstawą wychowania.

Przyjrzyjmy się obecnie, jakie stanowisko zajmuje Związek w swoich wystąpieniach na forum międzynarodowem.

Jako członek Międzynarodowej Federacji Zrzeszeń Nauczycielskich, Związek wziął oczywiście udział w kongresie tej instytucji, odbytym w kwietniu 1929 r. w Bellinzonie (Szwajcarja). Wśród rezolucji, powziętych na tym kongresie, zwraca szczególną uwagę jedna, a mianowicie: Federacja wypowiedziała się za t. zw. szkołą neutralną.

Co to jest ta szkoła neutralna?

Otóż wedle definicji „oficjalnej", jest to szkoła, zorganizowana i urządzona tak, aby w niej znaleść się mogły dzieci wszystkich rodziców, bez względu na wyznanie czy światopogląd i by w szkole tej z powodu wyznania, czy światopoglądu rodziców dziecko nie było narażone na przykrości.

Oddajemy teraz głos Francuzowi, który nam może najwięcej powiedzieć o szkole neutralnej; lecz nie jakiemuś „reakcjoniście", ale samemu francuskiemu ministrowi oświaty, Viviani'emu, który powiedział: „N e u t r a l n o ś ć s z k o ł y b y ł a d l a n a s t y l k o d y p l o m a t y c z n e m k ł a m s t w e m, s t o s o w a n e m p r z e z p e w i e n c z a s, b y u ś p i ć u m y s ł y b o j a ź l i w s z e, a l e n a s z e m d ą ż e n i e m b y ł o z a w s z e s t w o r z e n i e s z k o ł y

bezreligijnej i to przez otwartą walkę z Kościołem".

Komentarze zbędne.

Podobnie inny występ Związku na terenie zagranicznym, a mianowicie udział w IV Międzynarodowym kongresie wychowania moralnego w Rzymie w 1926 r., może posłużyć za przyczynek do właściwego oświetlenia ideologji Związku. Delegaci jego w zupełności solidaryzowali się z wynikami obrad kongresu nad możliwością uniwersalnego kodeksu moralnego, jako podstawy wychowania; obrady nacechowane były wystąpieniami przeciwko wszelkiej religji, a chrześcijańskiej w szczególności.

Podany przebieg obrad nie może nikogo dziwić, jeśli się weźmie pod uwagę, że odbywały się one pod kierownictwem i opieką masonerji.

Wreszcie wypada jeszcze zwrócić uwagę na dwie rzeczy, jeśli chodzi o charakterystykę działalności Związku. Jedną z nich jest fakt, że Związek P. N. S. P. występuje wszędzie. gdzie się po temu nadarza sposobność, przeciwko organizacjom w kraju, mającym za cel szerzenie oświaty w duchu katolickim. O wrogim stosunku Związku do duchowieństwa wspomnieliśmy już poprzednio. Zresztą działalność Związku została też już przez miarodajne czynniki kościelne w Polsce właściwie oceniona w postaci wydania odezwy Episkopatu Polskiego w 1930 r. o wrogim stosunku Związku P. N. S. P. wobec Kościoła katolickiego. Kilka rozpraw sądowych rzuca na tę sprawę również wiele światła.

Drugą rzeczą jest fakt, nader smutny, stosowania przez Związek jak najdalej posuniętego teroru towarzyskiego wobec nauczycieli, by ich skłaniać do wstępowania do Związku. Możnaby tu niezliczone przytoczyć przykłady. Wystarcza zajrzeć do materjałów informacyjnych, pochodzących ze źródeł „niezwiązkowych", by się o tem przekonać, ilu nauczycieli wstępuje do Związku z obawy, a nie z przekonania.

Jeśli chodzi o całokształt sytuacji, przedstawionej powyżej na przestrzeni szeregu lat, to zaznaczyć trzeba, że nie uległa ona w niczem zmianie do chwili obecnej. Odnosi się wrażenie, iż cała ta rozległa robota uskuteczniana jest w ostatnim czasie raczej z większą ostrożnością i w ukryciu, lecz bynajmniej nie ustaje.

Jakież wnioski wynikają z przedstawionego powyżej stanu rzeczy?

Jeśli weźmiemy pod uwagę, że szkoła ma za zadanie nietylko uczenie, lecz również wychowywanie, to kwestja, jak to wychowanie ma się odbywać, nie jest i nie może być tylko troską nauczycieli, lecz całego społeczeństwa. Szkoła nie może być wyłącznym monopolem nauczycielstwa. Ażeby wychowanie dziecka było wszechstronnem, musi ono uwzględniać również stronę moralną dziecka, która powinna się opierać na trwałych podstawach religijnych. Jeśli więc nauczyciel samowolnie podważa te podstawy, działa on na szkodę powierzonych jego pieczy dzieci.

Gdy nauczyciel pod osłoną powagi naukowości i pod pozorem troski o prawdę stara się burzyć w dziecku jego przekonania religijne, popełnia on pospolitą nieuczciwość, niegodną pedagoga.

Uciekanie się do takich środków, jak przedstawianie duchownych, jako żandarmów ustroju, uciskającego lud, ażeby w ten sposób odciągać go od Kościoła i wiary, jest pospolitą demagogją, nie przebierającą w środkach, a zarazem zamaskowaną, podstępną walką z Kościołem. Chrystjanizm bowiem z głębi swojej istoty jest demokratycznym.

Wyciąganie wniosków o religji z nauki i vice versa, jest z gruntu mylnem, nie mówiąc już o demagogicznem dosiadaniu „koników“ pseudonaukowych, w postaci zarzucania religji sprzeczności z nauką.

Robota, prowadzona przez naszych ateistycznych nauczycieli, zmierza do tego, aby przez usypianie i rozluź-

nianie sumienia zarówno inteligencji oświatowej, jak i młodzieży, osłabiać spoidła chrześcijańskiej społeczności i czynić ją nieodporną na próby wywrotowe.

Idzie walka o duszę nauczyciela. Od jej wyniku zależeć będzie w wysokim stopniu przyszłość narodu. Albowiem, na jakiej płaszczyźnie ideowej nauczyciel stanie, takie będzie przyszłe wychowanie społeczeństwa: powiedzmy jaśniej: chrześcijańskie, albo niechrześcijańskie. A z poczynań naszych skrajnych radykałów w łonie nauczycielstwa wynika wyraźnie, iż idą za wskazaniami Liebknechta, danemi na zjeździe w Halli w 1890 r.: „Musimy zmobilizować szkołę przeciw Kościołowi, a nauczycieli przeciw klerowi“. Wiedeńscy socjaliści jeszcze dzisiaj powtarzają podobne hasło: „Odbierzmy Kościołowi dzieci, a Kościół upadnie“.

Stąd tak namiętna idzie walka z religją na terenie szkoły, tej niezmiernie ważnej domeny, która daje do rąk klucz do rządów duszami.

Jeśli więc toczy się walka o duszę wychowawców narodu, tych, którzy w życiu społeczeństwa i państwa spełniają niezmiernie ważną funkcję ze względu na bezpośredni swój związek z młodemi pokoleniami, konieczną jest czujna baczność na to, co się dzieje. Musi się tu zbudzić każde sumienie polskie, ażeby nie było zapóźno. Wszak Polska może tylko albo być chrześcijańską, albo nie być wcale!

Niechaj nam, jeśli chodzi o niebezpieczeństwo, jakie grozi narodowi i społeczeństwu ze strony potęgujących się prądów radykalnych, posłużą za przestrogę stosunki w tym względzie we Francji, gdzie kilkadziesiąt tysięcy nauczycielstwa związkowego wyraźnie już komunizuje, wyrósłszy z czasem ponad głowy ministrów oświaty i premjerów, którzy zapóźno się spostrzegli, czem zagrażają radykalne prądy w nauczycielstwie.

Emil Rewerowski.